Nr. 111. Lwów — Wtorek dnia 14 Maja. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Bonifacego — Aftanazya m. | Jutro: św. Zofii i 3 c. — Tymofteja | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 29, Zachód „ 7 „ 25 | Długość dnia g. 14 m. 56, Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 13 maja.

Los niemieckiej ustawy przeciw wywrotowi uważać można za rozstrzygnięty, nietyle przez odrzucenie najważniejszego paragrafu 111, który wzięto pod obrady, ile przez to, że zarówno między stronnictwami, jak między niemi a rządem powstała odrazu taka nieprzyjaźń, taka cierpka niechęć i nieufność, iż wspólna ich praca nad tą ustawą stała się w ogóle niemożliwa.

Musimy jednak przedewszystkiem opowiedzieć w streszczeniu przebieg dyskusyi.

Wspomniany paragraf 111 brzmi w teraźniejszym kodeksie karnym niemieckim jak następuje:

„Kto w jakikolwiek sposób wzywa do popełnienia karygodnej czynności, będzie tak samo karany, jak ten, kto ową czynność spełnił, jeżeli to wezwanie pociągnie za sobą karygodną czynność, albo tylko dążność do jej wykonania. *Jeżeli zaś wezwanie nie wywołiło żadnych następstw, natenczas będzie karane więzieniem do roku.* W tym jednak wypadku kara za wzywanie do zbrodni lub przestępstwa nie może być twardsza od kary za sam czyn zbrodniczy lub przestępczy“.

Rząd zaprojektował taką zmianę tego paragrafu: po słowach podanych wyżej kursywemi literami, następuje wstawka: „albo grzywną pieniężną do 600 marek, a gdy wzywano do zbrodni (nie do przestępstwa) *kara więzienia może być podniesiona do lat trzech*“.

Następnie rząd zaprojektował nowy § 111a, brzmiący tak: „Kto zbrodnię zachwala (więc nie wzywa do jej wykonania) albo przedstawia czyn zbrodniczy za dozwolony, ten podlega karze określonej w § 111“.

Widoczne jest, że ten nowy paragraf (111a) zwraca się przeciw anarchicznym i socyalistycznym hymnom na cześć politycznych morderców, jak Ravachol, Caserio i inni.

Centrum w komisyi zmieniło rządowe brzmienie tych paragrafów w ten sposób: po słowach podanych wyżej kursywemi literami, wstawiło: „grzywna zaś do dwóch tysięcy marek“. A dalej: „Taka sama kara spotka tego, kto podżega do cudzołóstwa, zerwania małżeństwa, bluźnierstwa publicznego Bogu lub wierze chrześcijańskiej, świętokradztwa, albo kto podobne czyny zachwala i usprawiedliwia“. Tą wstawką centrum uczyniło rządowy § 111a zbytecznym i wykreśliło go z projektu.

Sądzimy, że w parlamencie niemieckim chyba tylko socyaliści i bezwyznaniowcy szczerze mogli się opierać bądź proponowanej przez rząd zmianie § 111-go, bądź dokonanej przez centrum: pierwszym zależy na wolności wychwalania politycznych mordów, drugim — na wolności podkopywania chrześcijaństwa. Ale oni nie stanowią większości. Tymczasem paragraf ten upadł głosami prawie całej izby. Rzekliśmy wyżej, że tłómaczymy to przedewszystkiem gniewem na rząd, a dopiero w drugim rzędzie niechęcią do całej ustawy, bo gdyby się kierowano wyłącznie tą niechęcią, to przyjęcie tego paragrafu nie obowiązywałoby do przyjęcia następnych, gdyż wszystkie one nie stanowią żadnej zgoła całości, a gdyby nie chciano zabronić zachwalania cudzołóstwa, życia rozwiązłego, bluźnierstwa, świętokradztwa i t. d., to odrzuconoby projekt centrum, a przyjęto projekt rządowy.

Zatem musimy przypuścić, że jedynie rozdrażnienie i gniew, a także nieufność do rządu teraźniejszego skłoniła deputowanych do odrzucenia tego paragrafu. Zaznaczyliśmy już w niedzielnym numerze naszego pisma, że we środę toczyła się rozprawa spokojnie. Mało mówiono o paragrafie 111-ym i 111a, bo one nie przedstawiały zbyt wielkiego tematu do dyskusyi. Rozprawiano przeważnie o szkodliwości lub nieszkodliwości socyalizmu i anarchizmu i zakończono posiedzenie pod wrażeniem, że sam § 111 przejść może. Natomiast we czwartek zaogniła się rozprawa. Minister sprawiedliwości Schonstedt, katolik, a więc uważany za zwolennika centrum, wystąpił z mową, w której utyskiwał na centrum, że swemi poprawkami utrudniło sytuacyę, zaniepokoiło opinię publiczną, wywołało niepotrzebną zgoła agitacyę, która wystawiła przed narodem cały projekt jako zamach na wolność myślenia i krytykowania. Było to wielką niezręcznością ze strony centrum. Rząd chciał walczyć tylko z przewrotem, tylko z faktami rzeczywistymi, a niezmiernie szkodliwymi dla państwa i społeczeństwa, centrum zaś zamierzyło w swej gorliwości oszańcować to, co i bez tego jest już bronione wszystkiemi razem ustawami. Nie ma w tem nic złego, ale jest niepraktyczność, jest upuszczeniem rzeczy choć małej, ale pożytecznej, dla rzeczy wielkiej, lecz zbytecznej.

Liberałowie dali ministrowi kolosalne brawo, a wówczas z centrum wystąpił znany deputowany Gröber i rzekł wzburzonym głosem, iż obóz katolicki nie jest tem stworzeniem, które ma skakać przez rządową laskę, lecz spełnia swój obowiązek poselski podług własnego sumienia a dziwi go nadto, skąd pan minister może mieć żal do centrum, kiedy ono nigdy się nie ubiegało o zaszczyt stanowienia obozu rządowego. Ostre słowa Gröbera rozdrażniły ministra Schonstedta, który odrazu odpowiedział mu to, co rząd zapewne chował na ostatek: „Rząd związkowy wcale też nie liczy na centrum, więc także ignoruje jego poprawki i mam zaszczyt oświadczyć, iż na nie nie zgodzi się pod żadnym warunkiem“.

Znowu wybuchły oklaski na ławach liberalnych i radość tam powstała, że centrum z rządem tak się ostro rozeszły; a na ławach katolickich znać było gniew i postanowienie odpowiedzieć rządowi równą niegrzecznością.

Później możeby jeszcze ukoiło się to rozdrażnienie, ale oliwy do ognia dolał zawsze niezręczny i zawsze opryskliwy minister von Köller, który brutalnością chce naśladować Bismarka, ale mało co więcej oprócz jego brutalności posiada. Socyaliści Bebel i Auer i antysemita Schall wmięszali do dyskusyi najpierw cesarza, o którym mówili, że w swych niektórych przemowach także wyzywa, wmięszali sprawę mistrza ceremonii Kotze'go, prawili o „anarchii z góry“, dowodzili, że Apostołowie byli socyalistami, wreszcie jęli przekonywać, że socyalizm jest doktryną dobroczynną, bo odświeży zgangrenowane społeczeństwo, a bynajmniej nie zachęca do żadnych zbrodni i wcale nie podkopuje wiary, ani małżeństwa itd. Mówili to wszystko tak oględnie że prezydent izby nietylko nie odebrał im głosu, ale nie uczynił żadnej uwagi. Byli bardzo zręczni, ale za to nie sprawili wrażenia, co jest naturalne, bo gdy się wypowiada grzecznie i językiem dystyngowanym takie rzeczy, to one są tylko zabawne. Nikt też na te wywody nie zwrócił uwagi i zaraz potem junkier Kardorff, dr. Sigl ze stronnictwa chłopskiego i hannowerczyk Hodenberg mówili o samej ustawie.

Lecz minister von Köller widocznie miał przygotowaną mowę. Więc jął dowodzić zbrodniczości socyalizmu za pomocą wycinków z różnych gazet socyalistycznych, wydawanych po niemiecku w Szwajcaryi i Anglii, po francusku, holendersku i t. d. Wołali mu socyaliści: „Ależ to nie my!“ A on na to: „Wy, albo wasi bracia, to wszystko jedno!“ Dalej rzekł: „Rządy związkowe przekonały się, że tak, jak jest, dłużej trwać nie może i że musi być inaczej. A parlament niech się dobrze zastanowi, jaką przystoi mu zająć pozycyę!“ Tu odezwały się głosy: „oho! oho!“ Deputowany Lenzmann zawołał: „Cała odpowiedzialność spadnie na rząd za tworzenie wyjątkowych ustaw“, a na to minister von Köller odparł: „Czy pan zgadza się z naszymi poglądami, czy nie, to związkowym rządom jest całkiem obojętne!“ Zerwał się tedy hałas, krzyczano: „Lilipuci Bismark!“ „Quod licet Jovi non licet bovi!“ itd.

Dalej już prawie nie było rozprawy, bo atmosfera była nasycona irytacyą. Gromadki deputowanych żywo rozmawiały w różnych końcach sali. Levetzow zaproponował zmienić rządowy tekst § 111-go i 111a, aby trochę się zbliżył do tekstu centrum, Kardorff go poparł, ale nikt na to nie zważał. Sprawa była osądzona. Wszyscy zrozumieli, że dalsze paragrafy absolutnie nie przejdą, a ten pierwszy nie wiele wart. Zażądano głosowania i ono odrzuciło wszelką zmianę § 111-go.

Wniosek ogólny z tego taki, że cały zamiar obostrzenia kodeksu karnego odrazu chybił — i że między parlamentem a rządem, jak również między stronnictwami nie ma punktów stycznych, nie ma zaufania do rządu i administracyi państwowej, skoro często wspominano podczas rozprawy, iż ministrowie i urzędnicy będą nadużywali broni, jaką da im to obostrzenie kodeksu. To też znowu pojawiła się pogłoska o tem, że parlament będzie rozwiązany, chociaż może nie zaraz, bo do wyborów rząd musi się przygotować. Przypuszczają jednak w Berlinie, że gabinet zostawi izbie swobodę rozprawiania nad dalszymi paragrafami ustawy i sam będzie obojętnym widzem, skoro, jak to opowiedzieliśmy powyżej, oznajmił przez usta ministra sprawiedliwości Schonstedta, że żadnych poprawek, dokonanych przez centrum, nie przyjmie; tymczasem więc pocznie zapewne nastrajać w państwie sytuacyę tak, aby wybory wypadły dlań pomyślnie.

Starcia, które powstały między rządem a stronnictwami, budzą wszakże ogólny interes, świadczą bowiem o tem, że się psuje ustrój konstytucyjny istniejący w Niemczech, a oparty na powszechnem głosowaniu, i że trzeba go jakoś inaczej ułożyć. Tam zbyt luźny jest związek między rządem a parlamentem, który w zupełności tworzy maszynę do prostego uchwalania rządowych projektów, a sam nawzajem nie ma na rząd rzeczywistego wpływu. Mogło to być znośnem i usprawiedliwionem, dopóki na czele rządu stał tak wyjątkowy dla Niemiec człowiek, jak Bismark; dziś zaś psuć się zaczyna. Od Bismarka mogli deputowani przyjąć nawet impertynencyę, bo widzieli w nim zjednoczyciela narodu, żelaznego męża, przed którym nawet obce potęgi drżały; ale gdy bismarkowską manierą rzuca deputowanym impertynencyę niczem nieodznaczający się minister spraw wewnętrznych von Köller, natenczas izba ubliżyłaby sobie, gdyby to puściła płazem. Więc odrzucenie głównego paragrafu ustawy tłómaczy się w znacznej mierze słusznem oburzeniem na rząd, chociaż niezawodnie owo odrzucenie oznacza także i żywą niechęć do całej ustawy i ogromną gmatwaninę stosunków między stronnictwami. Za dużo ich, bo aż dziesięć i te się jeszcze często rozpadają, a gdzie jedno dąży, tam drugie za nic iść nie chce. Na ten chaos zwrócił świeżo uwagę Bismark, gdy przyjmując we czwartek deputacyę od Sasów, rzekł do niej: „Chciałbym z wami zawołać naszym politycznym stronnictwom: *Pereat!* lecz ponieważ jesteście z Saksonii, więc wolę wznieść okrzyk na cześć waszego króla.“

Królowę Natalię przyjęto w Belgradzie z ogromnym zapałem: miasto było udekorowane, a wieczorem płonęło morzem świateł. Królowa zimno przywitała się z Pasiczem, który jako prezydent gabinetu wydalił ją z kraju, a metropolity Michała, który na żądanie Milana dał mu rozwód, wcale widzieć nie chciała i nazwała go chytrym intrygantem. Zaraz też złożono go z urzędu i wysłano do klasztoru w Rekowicy. W pałacu królowa przyjmowała zaraz po przybyciu liczne deputacye ze wszystkich stron kraju, między innemi zaś deputacyę od skupczyny pod przewodnictwem jej prezydenta Nikołajewicza, który rzekł, że ona była światłem, radością i szczęściem Serbii, a że wygnanie jej było nikczemnością i policzkiem danym narodowi i że teraźniejszy powrót jest zapowiedzią pogodnych dni dla Serbii. Królowa przyjęła do służby cały swój dawny dwór i z nim razem i synem pojechała po południu na festyn ludowy do parku Topczyderskeigo, a wieczorem do teatru. Wszędzie jej robiono owacye. Ministeryum Kristicza przyjęła ona uprzejmie, chociaż Kristicz stał po stronie Milana, a przeciwko niej i urzędował wtedy, gdy się toczył proces rozwodowy. Stąd wynika, zdaniem polityków serbskich, że królowa nie będzie nalegała, aby usunięto teraźniejszy gabinet i powołano radykalistów umiarkowanych, zwanych także „dworskimi“, na których czele stoi jenerał Sawa Gruicz.

P. J. Szafarzyk.

(W setną rocznicę urodzin).

„Lubuję się bardzo w słowiańskim ja gwarze;
Klaskam od mogił wkrąg na rozgraniczu:
Tak, tak, Szafarzyku! tak, tak, Kopitarze!
Pieśni hej dawaj, Wuku Karadziczu!
Resztę my powiem, guślary-gęślarze.“

Bohdan Zaleski

Z okazyi setnej rocznicy urodzin sławnego slawisty wnuk jego po kądzieli, profesor wszechnicy wiedeńskiej Konstanty Jireczek, b. minister oświecenia bułgarski, rozpoczął w głównem czasopiśmie czeskiem *Osviecie* szereg rozpraw pod napisem „Szafarzyk pomiędzy Słowianami południowymi“. Będzie to więc dokładna, oparta na korespondencyi Szafarzyka, monografia jego pobytu w Nowym Sadzie, gdzie od roku 1819 do 1832 pełnił obowiązki dyrektora serbskiego gimnazyum metropolitalnego, zbierając równocześnie materyał do swych pomnikowych „Starożytności słowiańskich“.

Pierwszy rozdział, ogłoszony w majowym zeszycie *Osvěty*, zawiera treściwy obraz młodości Szafarzyka. Jak drugi głośny slawista tego okresu, poeta Kollar, tak Szafarzyk pochodził z protestanckiej rodziny słowackiej, wywodzącej ród swój od emigrantów czeskich z czasów wojny trzydziestoletniej. Dziad jego był pastorem w Szczytniku w gemerskim komitacie. Ojciec jego Paweł, urodzony tam w r. 1763, sprawował urząd pastora w Kobelorzowie (po madziarsku Feketepatak), małej wiosce niedaleko Rożnowa. Matka Katarzyna z Koreszów pochodziła z bliskiej osady Ilankowa. Jako czwarte, najmłodsze dziecko wymienionej pary, Paweł Józef Szafarzyk urodził się 13 maja 1795 w Kobelorzowie.

Gimnazyalne nauki pobierał od roku 1805 do 1808 w Rożnowie, a skończył w roku 1810 w Dobrzynie jako uczeń celujący. Od roku 1810 do 1815 słuchał teologii, filozofii i prawa węgierskiego w protestanckiem liceum w Kesmarku. Równocześnie był nauczycielem domowym synów zamożnego mieszczanina i asesora Godbergera, co mu umożebniło udać się potem jeszcze na wszechnicę w Jenie. W owym czasie głównie pisma Jungmana obudziły w młodym studencie poczucie czeskie. „Jungmana — pisał w kilkanaście lat później do Palackiego — czczę jako drugiego ojca, a względem języka ojczystego i narodowości mej jako pierwszego.“ Od współczuciów Serbów i Rusinów nauczył się innych języków słowiańskich i już w roku 1814 wystąpił ze zbiorem pieśni lirycznych („Tatrzańska muza“, w Lewoczy), z których później sam żartował jako z niedojrzałego płodu młodzieńczego uniesienia. Inne wiersze zamieszczał w wychodzącym w Wiedniu almanachu *Prvotiny*.

We wrześniu r. 1815 przeniósł się Szafarzyk do Jeny, korzystając z przywileju ewangelickich teologów węgierskich, którym jednym było wolno odbywać studya na wszechnicach zagranicznych. Oprócz wykładów teologii, słuchał filozoficzne Friesa, filologiczne Eichstaedta, a głównie historyczne sławnego Ludena, które wywarły na nim wpływ najsilniejszy. W tym czasie zapoznał się gruntownie z literaturą grecką i niemiecką, przełożył „Chmury“ Arystofanesa, „Maryę Stuart“ Schillera, robił wyciągi z przechowywanego w Jenie rękopisu Jana Husa, rozpoczął pracę nad swem pierwszem poważnem dziełem: „Krótka historya literatury słowiańskiej według wszystkich narzeczy“ (!), i pilnie zbierał najróżniejsze materyały, dotyczące literatur i dziejów słowiańskich.

Wtedy także nawiązała się korespondencya pomiędzy Szafarzykiem a Palackim, który naówczas odbywał studya w Preszburgu. Już w pierwszych listach (z r. 1817) dźwięczy wyraźnie struna marzeń wszechsłowiańskich. „Stój, stój, jeszcze nie przegrana. Żyje Bóg, żyje niebo, które rychlej czy później uwieńczy dążenie

---

6)

OPOWIEŚCI PRAWDZICA

(Obrazki z życia Sportsmana).

(Ciąg dalszy).

VII.

Po żniwach uporał się o tyle z gospodarstwem, że zostawiwszy masztalerzowi bardzo szczegółowe instrukcye, dotyczące trenowania koni, mógł pojechać na dni parę do Stasia B. swego kolegi i przyjaciela.

Naturalnie gawędom nie było końca; Staś był wprawdzie przez czas jakiś w zimie w stolicy, był i na wyścigach, ale zawsze młodzi ludzie mieli sobie bardzo dużo do powiedzenia.

Kiedyś jadąc konno, Prawdzic przypomniał sobie Andzię i zapytał o nią.

— Ach, ja tam tak rzadko bywam — odparł Staś — widuję ją prawie tylko w kościele, ale mogę ci zaręczyć, że jeszcze wyładniała. Jeśliś ciekaw, możemy tam pojechać. A propos! kocha się w niej na zabój i formalnie stara się o nią ja iś niższy urzędnik sądowy.

Nazajutrz pojechali.

Pan Dolski jak zawsze gościnny, cieszył się bardzo obydwoma paniczami, Andzia piekła raki i zdobyła się na powinszowanie Prawdzicowi zwycięztw na wyścigach a nawet na zapytanie o zdrowie „Flirta“.

— O! biedny „Flirt“ teraz w ciężkiej robocie.

— Cóż takiego? — zapytała Andzia z przerażeniem.

— Trenuje się, to znaczy przygotowuje się do wyścigów jesiennych w Tarnopolu, a to bardzo ciężka praca. A państwo przyjadą na wyścigi?

— Ach! jabym tak rada — popatrzyła na rodziców, i spuściła oczy — nigdy w życiu wyścigów nie widziałem, chyba na obrazkach.

— To niech pani pięknie rodziców poprosi, „Flirt“ ma biegać w nagrodzie dam i oczywiście ja na nim pojadę.

Po herbacie całe towarzystwo wyszło do ogrodu, jak to było zwyczajem, i Prawdzic z Andzią wybrał się znowu naprzód i przypomniał jej owego zająca, którego tragiczną śmierć tak „obżałowywała“ — jak się wyraził — a potem dodał, że to polowanie będzie mu pamiętnem, bo jemu zawdzięcza, że Andzię poznał. Ona pokraśniała i spuściła oczy.

Potem mówili dużo o literaturze, poezyi i t. d. W końcu powracając już do dworu zapytał ją Prawdzic, czy zawsze wieczorami chodzi po ogrodzie. Odpowiedziała potwierdzająco.

Zatrzymywany przez Stasia, Prawdzic zabawił dłużej niż zamierzał. Co drugi dzień pisywał obszerne listy do rządzcy swego, w których były bardzo szczegółowe instrukcye dla masztalerza co do „roboty“ trenujących się koni, ale codziennie prawie wymykał się wieczorami, i jak przed rokiem zostawiał konia w pasieczysku, a schodził się z Andzią w ogrodzie.

I znowu poczciwy księżyc nasłuchał się westchnień i cytatów najrozmaitszych poezyi, a słuchał cierpliwie.

Kiedyś Prawdzic zacytował jej z improwizacyi Żmichowskiej ustęp:

„O! ja kocham cię, kobieto!
„Kocham ciemne twoje oczy,
„Kocham połysk twych warkoczy,
„Kocham wzniosłe czoło twe!
„Kocham ślad twej drobnej stopy,
„Kocham głosu twego dźwięki,
„Kocham białość twojej ręki,
„Kocham tchnienie twoich ust,
„Kocham jedwab twojej szaty,
„Kocham spinkę, która świeci
„U przepaski twej kibici,
„Kocham perły z szyi twojej,
„Blask dyamentów na tej skroni,
„Wachlarz co nim dłoń twa chwieje,
„Gazę, coć on z piersi zwieje,
„Twej postaci kocham cień!...“

A kiedy skończył, zapytała go przez łzy:

— Tak się kocha chyba w książkach tylko i [w poezyi?

— O nie! tak się kocha naprawdę.

I uściskali się.

Innym razem znów cytował jej z „Beniowskiego:

„Kłębami dymu niechaj się otoczę,
„Niech o młodości pomarzę współsenny
„Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
„Widzę, jaki ma w oczach blask promienny....“

I całował jej warkocze, i oczy o promiennym blasku.

Dla Prawdzica ten „flirt“ na tle poetycznem, po łatwych, a bardzo prozaicznych miłostkach teatralnych, cyrkowych itp., miał dziwny jakiś wdzięk sielankowy. Śmiał się czasem sam z siebie, „że musi wyglądać jak pastuszek z obrazu „Watteau“; — a Staś podziwiał, że to „Panicz i Dziewczyna“ Mickiewicza „en action“.

Na szczęście „flirt“ ten nie wyszedł po za granice platonizmu.

Pora wyścigów zbliżała się, „Flirt“ (koń) koniecznie potrzebował „szwica“ *), więc Prawdzic powrócił do domu, ale przed odjazdem powiedziała mu Andzia, że na jej usilne prośby, rodzice zdecydowali się pojechać na wyścigi do Tarnopola tem łatwiej, że właśnie o tej porze wypadało oddać jednego z braciszków jej do szkół, — no, i porobić niezbędne sprawuneczki na jesień i zimę.

VIII.

Roiło się na torze wyścigowym niegorzej niż we Lwowie. Ekwipażów prywatnych było dużo i bardzo ładnych. Prawdzic pierwszy raz w życiu miał własny; to też zależało mu na tem, żeby on był pod każdym względem wzorowy. Uprząż była skromna, lekka; liberya „grooma“ ciemna, ale konie bardzo piękne, doskonale dobrane, a zaprzężone jak u wiedeńskiego fiakra. Obok siebie na koźle wiózł Stasia B., który równie jak on miał jeździć na wyścigach. I minęli skromną jednokonkę, w której siedziała pani Dolska z Andzią. Ukłonili się obydwaj bardzo nizko, a za chwilę spotkali Dolskiego, który zadyszany szedł piechotą przypatrzyć się tym, jak je nazywał „błazeństwom“, bo przy swojej tuszy nie byłby się z kobietami w jednej jednokonce pomieścił.

Przyjechawszy na tor, Prawdzic odszukał Andzię, wręczył jej program, a ona spytała:

— W którym biegu „Flirt“ idzie?

— W trzecim, proszę pani, w nagrodzie Dam.

— A jakie kolory?

Rozpiął paletot i pokazał jej czerwoną kurtkę z żółtą, na wskos przez piersi idącą, szarfą.

Uśmiechnęła się.

— Jaki to niełądny strój — rzekła.

— „Flirt“ idzie pod temi kolorami; ale ja jeszcze potem jeżdżę w ostatnim biegu w szafirowej kurtce z białą czapką.

Do nagrody Dam stanęło trzech jeźdźców; dwóch Niemców i Prawdzic, który po zaciętej walce wygrał o długość konia.

Pierwszy to raz biegał jego własny koń i jego kolory świeciły na torze wyścigowym; to też był zupełnie upojony tem zwycięztwem.

Wracając do wagi, a zapamiętawszy miejsce, w którem siedziała Andzia z matką, nisko im się ukłonił.

Kiedy wychodził z wagi, otoczyło go mnóstwo znajomych z powinszowaniami i zupełnie zapomniał o Andzi.

Ostatni bieg przegrał.

Drugiego dnia wyścigów był bieg z przeszkodami bardzo poważnemi, w którym Prawdzic miał jeździć na cudzym koniu.

Wyjechawszy na tor, przypomniał sobie Andzię i zaczął jej szukać. Odnalazł nareszcie, powinszowała mu wczorajszego zwycięztwa i pytała o zdrowie „Flirta“. Zaręczył jej, że zdrów jak ryba, wesół i przy apetycie.

— Ach! jakżebym mu chętnie cukru dała za wczorajsze zwycięztwo. A dziś pan jeździ?

— Jeżdżę w biegu z przeszkodami.

— Ach! jakie to straszne! czy to „Flirt“ idzie?

— Nie, pani; jadę na koniu barona D.; błękitna kurtka, czerwone rękawy.

Pożegnali się.

Do owego wielkiego biegu z przeszkodami stanęło dziewięć koni, przeważnie zagranicznych. Meta była długa, przeszkód kilkanaście, a w pierwszej połowie biegu dwa konie się przewróciły.

Trzy konie na przodzie prawie frontem szły do mety, od której dzieliły je jeszcze trzy przeszkody, i frontem, jakby w ataku, jeźdźcy najechali na szeroki rów przysłonięty płotem. Jednym z nich był Prawdzic. W chwili, kiedy koń jego odsadzał się do skoku, koń obok idący odmawiając przeszkody, rzucił się w bok i piersiami uderzył konia, na którym on siedział. Skoczył, ale wskutek owego gwałtownego uderzenia z boku, po tamtej stronie przeszkody przewrócił się, przygniatając całym swym ciężarem lewe kolano jeźdźca o brzeg rowu.

Leżał więc Prawdzic pod koniem, a tem trudniej mu było powstać, że leżał w dół głową, która się znajdowała na dnie rowu i w tej chwili z owej głębi zobaczył brzuchy trzech koni skaczących ponad niego. Wtedy ubódł konia ostrogą prawej nogi, która nie była przytłoczoną. Koń się zerwał i jeździec także Wsiadł i dojechał do mety piątym.

Wyprawiono mu wielką owacyę, ale bieg był przegrany.

Andzia o mało nie zemdlała, widząc błękitną z czerwonymi rękawami kurtkę w rowie; ale ożyła, skoro się jeździec podniósł i za innymi podążył do mety. Prawdzic, zsiadłszy z konia, kulał mocno, a następstwem owego wypadku było stłuczenie kolana, wskutek którego sześć tygodni przeleżał w łóżku.

IX.

Więcej już się z Andzią w życiu nie spotkali.

W kilka miesięcy później dowiedział się od Stasia o zaręczynach jej z owym urzędnikiem, mającym silną skłonność do otyłości.

* * *

Dziś Andzia ma pięcioro dzieci, które myje, czesze i ubiera; żywi dzieci i męża, a zdawałoby się, że nie skąpo, skoro utył prawie do takich jak jej ojciec rozmiarów. Prawdopodobnie w tej chorobliwej skłonności do okazałej tuszy tkwi jakiś atawizm, bo trudno przypuścić, żeby w naszym kraju niższy urzędnik, na swej pensyi miał z czego utyć...

Ale przy tych wszystkich zajęciach około domu i dzieci, kiedy nadchodzi pora wyścigów, Andzia pilnie szuka w dziennikach sprawozdań wyścigowych, a wyczytując w nich imię Prawdzica, piecze raka, jak za dobrych młodych czasów, kiedy razem chodzili po ogrodzie „przy księżyca promyku“ i praktycznie ćwiczyli się we „flircie“.

* * *

Panna Wanda poszła za mąż bardzo nieszczęśliwie, a w nieszczęściu i w cierpieniach okazała się kobietą wielkiego hartu duszy i niepospolitych przymiotów umysłu i serca.

Szkoda jej!

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*) „Szwic“ z niemiecka (po angielsku „sveat“) znaczy w treningu czyli przygotowaniu koni do wyścigów lub polowania, galop długi pod kocami i kapami w celu wypocenia tłuszczu i wyrobienia koniowi swobodnego oddechu.

swych wiernych sukcesem. A choćby to wszystko było tylko snem, ideą, cóż zależy na tem? Choćbyśmy tak, jak ojcowie nasi, zmarli, niedokonawszy niczego, umrzemy za ideę". A w innym liście: „Lecz zbyteczna obawa. Słowianie przebudzili się, z nowem pokoleniem zakwitła nowa siła; wszystko, co było martwem, upada. Drzemka ustała, musi nastać życie, jakie? — kto to odgadnie?"

Szumniej tę myśl wygłosił Kollar w wierszach „Slavy dcery", śpiewając, że za 100 lat Słowianie będą panami Europy:

„...Vedy slavskym poteką teź žlabem,
Krój, zvyk i spev lidu naszego —
Bude mocnym nad Seiną i Labem." *).

Że ci młodzi Słowacy, zamiast zapalać się do ideałów narodowych, oddawali się sztucznym marzeniom szczepowym, opartym na gramatyce i słownikach, tłómaczy się jedynie tem, że Słowacy nie byli nigdy narodem (w historycznem i politycznem znaczeniu wyrazu). Jakoż bardzo trafnie niedawno temu zauważył ks. Meszczerski, że rozdział pomiędzy narodami pochodzenia słowiańskiego zwiększa się z każdym krokiem, który jeden z nich stawia na drodze cywilizacyi; że Serb, dopóki pasł trzodę, mniej żywił niechęci dla Bułgara, niż teraz jako członek skupczyny, a Bułgar, który hoduje tylko kapustę, mniej nienawidzi Rosyi, niż Bułgar-minister! Jest w tem wielka prawda. Im wyżej naród pochodzenia słowiańskiego staje we własnej, samodzielnej oświacie, tem mniej ma ochoty położyć się ponownie do rzeczywistej, czy też tylko wymarzonej wspólnej kolebki prasłowiańskiej!

Co do Szafarzyka, w powrocie do kraju r. 1817 zatrzymał się kilka tygodni w Pradze, gdzie się zapoznał z Dobrawskim, Jungmanem, Hanką i innymi. Jednakże nie podobało mu się wtedy w Pradze, zwłaszcza zraziło go — plotkarstwo. W Preszburgu zabawił kilkanaście dni u Palackiego, który tam wtedy pełnił obowiązki dozorcy konwiktu barona Jesenaka, lato spędził w Kobelarowie. Na jesień przeniósł się do Preszburga jako nauczyciel domowy synka wiceżupana Kubinyiego. Teraz bliżej się zaprzyjaźnił z młodszym o 3 lata Palackim, obaj na przechadzkach po okolicy układali plany wspólnych wydawnictw literackich, bawili się dysputami historycznemi i estetycznemi i t. d.

Ponieważ zawód mentora chłopca, który uczęszczał do gimnazyum w Preszburgu, pozostawiał Szafarzykowi dużo wolnego czasu, studyował wtedy gorliwie języki nowoczesne, mianowicie: angielski i francuski; przebywał chętnie w towarzystwie profesorów akademii, przeważnie Niemców, odbywał częste wycieczki do Wiednia. Jeszcze długo potem Szafarzyk z rozczuleniem przypominał sobie te przyjemne lata pobytu w Preszburgu.

Tymczasem dla nowozałożonego w Nowym Sadzie gimnazyum serbskiego rozpisano konkurs na profesora VI-tej klasy, a zarazem dyrektora. Szafarzyk podał się na kandydata i w maju r. 1819 od biskupa prawosławnego Gedeona Petrowicza otrzymał uwiadomienie, że został przyjętym i powinien w październiku rozpocząć urzędowanie. Rozłączenie z Palackim było dla obu młodych przyjaciół bolesnem. Dopiero po 14-stu latach mieli się znów zejść — w Pradze.

Na tem kończy się pierwsza rozprawa prof. Jireczka w „Osvěcie". Przypomnijmy pokrótce dalsze losy Szafarzyka. Od r. 1819—1832 przebywał w Nowym Sadzie jako dyrektor gimnazyum serbskiego. Tutaj oddał się gorliwie studyom południowo-słowiańskim, mianowicie serbskim i staro-bułgarskim, zbierając dokumenta, rękopisy, stare listy i druki. Pierwszym owocem tych studyów była historyczna gramatyka języka serbskiego („Serbische Lesekörner", 1833), w której wykazywał, że język serbski jest samodzielnym, a nie synem tak zwanego staro-bułgarskiego. Wtedy także napisał obszerne dzieje literatury południowo-słowiańskiej, które dopiero w roku 1865 wydał (w 3 tomach) zięć jego Józef Jireczek (późniejszy austryacki minister oświecenia), ale które, choć tak długo spoczywały w rękopisie, mają zawsze wielką wartość. Pomińmy kilka drobniejszych prac z nowosadzkiego okresu Szafarzyka.

Na wezwanie Palackiego w r. 1833, przeniósł się do Pragi, gdzie w ciągu dwóch lat napisał głośne swe dzieło: „Starożytności słowiańskie" (1837), w którem za pomocą ogromnego aparatu lingwistycznego i archeologicznego, tudzież śmiałych kombinacyi przedstawił obraz najstarszych dziejów słowiańskich od prahistorycznych czasów do Xgo stulecia. Dzieło to tworzy jakoby teoretyczną podstawę — panslawizmu, obecnie wprawdzie pod wielu względami jest przedawnione, ale świadczy o rzadkiej pilności i uczoności swego autora.

Na mocy tej publikacyi Szafarzyk otrzymał wezwania na profesora do Wrocławia i do Moskwy; przyjął jednak urząd kustosza w bibliotece wszechnicy praskiej, a w r. 1848 profesora filologii słowiańskiej, którego to urzędu zrzekł się już w roku następnym, ograniczając się do swych obowiązków bibliotekarza. Dnia 23go maja roku 1860 rzucił się do Wełtawy, został wprawdzie wydobyty, ale w 3 dni potem umarł.

Jakkolwiek trudno się zgodzić na „słowiańskie" ideały Szafarzyka, niewątpliwie Czesi mają wszelki powód czcić w nim męża niepospolitej nauki i niezmordowanej pracy.

*) „Nauki słowiańskim popłyną korytem, krój, zwyczaj i śpiew ludu naszego zapanuje nad Sekwaną i Łabą".

Korespondencye.

Wiedeń 9 maja.

Kult Wagnera w całych Niemczech doszedł chyba już zenitu. W ogóle Niemcy mają specyalny talent uwielbiania i czci dla drobnostek tyczących się ich znakomitości i o niemieckich to właściwie wielkościach powinien był Słowacki napisać, „że but ich prawy w Sybilli powieszą, a o zniknięty lewy będą spory". Rachunki Goethego, bilety z trzema słowami jego ręki, są przedmiotem „poważnych" dociekań, jak włosy Jean Paula, który wielbicielkom swoim w braku własnych, posyłał nieraz pukle swego — pudla. Wagnera uważa się też za alfę i omegę muzyki niemieckiej. Towarzystwa jego imienia, rozsiane po Niemczech i Austryi, nie zadawalniają się uprawianiem muzyki mistrza; takiemu kultowi niby zarzucić się nie dało. Zachodzą one w swej czci dla zmarłego do zbierania wszelkich pamiątek, które w czemkolwiek przypominają opery twórcy Nibelungów, ich wystawienie na scenach różnych, gromadzą wizerunki śpiewaków, śpiewaczek, listy dyrektorów scen odnoszące się do jakiegoś utworu Wagnera, kostyumy teatralne, które przynoszą zaszczyt co najwięcej krawcom, instrumenta muzyczne połamane, które kiedyś były w orkiestrach dyrygowanych przez niego, i t. d. Takie muzeum posiadał także i Wiedeń, choć tu nie bardzo jeszcze zakorzenił się kult iście pogański dla bożka z Bayreuthu.

Istnieją wprawdzie w Wiedniu nawet akademickie stowarzyszenia, których członkowie poświęcają czas wolny Wagnerowskiej muzyce, ale dla kapeluszy i krawatów mistrza nie okazywano w Wiedniu nigdy zbytniego zainteresowania. Muzeum Wagnera, które się tu mieściło w Aleegasse, w dzielnicy czwartej, dość daleko od śródmieścia, i obejmowało więcej niż 25.000 różnych osobliwości, (książki o Wagnerze, dzieła i kompozycye jego, fotografie, biusty samego Wagnera i osób co z nim się zetknęły, illustracye scen, medale, monety, kopie listów i t. d.) było własnością prywatną Mikołaja Oesterleina. Zbierał on lata całe, co tylko do Wagnera się odnosić mogło i w roku 1887 uroczyście otworzył swe zbiory dla publiczności. Wagnerowscy wielbiciele w Wiedniu nie bardzo jednak korzystali z tego muzeum. Było to powszechnie znaną tajemnicą, że jeśli ktoś od czasu do czasu zajrzał do zbiorów, to nieochybnie niemal jakiś Bawarczyk, Sas, lub inny Niemiec z cesarstwa.

Zniechęciło to właściciela muzeum i już przed dwoma laty układać się zaczął z magistratem tutejszym o sprzedaż swych zbiorów. Burmistrz Prix zainteresował się był sprawą, ale cena 90.000 marek wydała się zapewne za wysoką tutejszemu zarządowi miejskiemu i układy się rozbiły. Projekt zakupienia tego muzeum podjęto wtedy w Niemczech i poczyniono w tym celu składki, które dosięgły tak pokaźnej sumy, że wypłacić można było Oesterleinowi 85.000 marek, a zarazem dla zbiorów przyzwoite zyskać umieszczenie w Eisenach. Burmistrz eisenachski przyjechał do Wiednia, aby doglądać opakowania przedmiotów i tak Wiedeń traci jedną ze swych licznych, w przewodnikach wyliczanych, ale przez publiczność i przyjezdnych wcale nieznanych osobliwości.

Dla ultra-niemieckich kół prawdziwem nieszczęściem jest to przeniesienie muzeum Wagnera, który w pojęciach narodowców radykalnych był jednym z przodowników pangermańskiej wielkości, a którego kult przesadny rozsądniejsi Niemcy sami wydrwiwali. Wedle owych kół, fakt ten świadczy o braku poczucia narodowego w stolicy Austryi, poczucia przynależności do wielkiego germańskiego szczepu.

Może ukoi nieco tych przygnębionych studyum filologiczne lingwisty dra J. W. Nagla, który z nadzwyczajnym wysiłkiem pracy i jeszcze większym wysiłkiem inteligencyi dowodzi, że Wiedeń (Wien) jest miastem od samego początku swego istnienia niemieckiem, gdyż samo nazwisko „Wien" pochodzi od staro-niemieckiego w dyalekcie dotychczas używanego słowa „Wean" albo „Woan", oznaczającego rów z wodą, potok.

Dotychczas słyszeliśmy zawsze, że Wiedeń powstał na gruncie celtyckim lub celtycko-słowiańskim, że nazwisko łacińskie Vindobona zawiera pierwiastki słowiańskie „Win" = „Wino", że kolonia rzymska przyjęła tylko nazwę już istniejącą (a zresztą i w łacińskim języku podobną), osady bogatej zapewnie w wino rosnące na wzgórzach, po których się następnie rozbudowała stolica. Teraz dowodzą nam, że miasto nazywa się od potoku „Wean" = „Wien"! Tymczasem faktem jest, że aż po czasy Karola Wielkiego nie słychać nietylko o niemieckości Wiednia, lecz o żadnym nawet zaborze czy podboju przez Niemców dziś niemieckich krajów Austryi, a i po założeniu marchii wschodniej przez Karola Wielkiego cała dzisiejsza Austrya Zachodnia od Karkonoszów po Adryatyk zamieszkana była przez Słoweńców, Wendów, Morawian i Czechów, a Samo dzierżył wszystkie kraje aż po Styryę jako wielki książę morawsko-czeski. Osadzeni przez Karola margrabiowie rządzili tylko podbitemi krajami, ale że przeto nie były one jeszcze niemieckiemi, wynika choćby z tego, że i Kraina przecież dostała się pod władzę księcia Friaulu (z ramienia cesarza Karola), a mimo to nie przestała być dotychczas słoweńską. Tylko, gdzie żywioł niemiecki otwarte miał granice, jak w Austryi Górnej i Dolnej i gdzie ciągłe najazdy Awarów i Węgrów zdziesiątkowały ludność pierwotną, tam musiał zapuścić korzenie i język niemiecki. Babenbergowie występują dopiero pod koniec X wieku! Ale jeśli to Niemcom radość sprawia, to niech się cieszą swojem „Wean"!

MAŁY FELJETON.

Kronika przyrodnicza

Mars wciąż budzi żywe zajęcie, zarówno astronomów, jak i ogółu, zaciekawionego jego lądami i wodami, jego śniegami i kanałami, a przedewszystkiem sygnałami, jakie nam jego mieszkańcy telegrafują.

Świeżą podnietę do pogłosek o tych rzekomych sygnałach dały nowe dostrzeżenia chmur w atmosferze planety, dosyć wysoko po nad powierzchnię jej wzniesione, niekiedy wysuwające się wyraźnie po za brzegi jej tarczy i promieniami słońca oświetlone. Jasne te obłoki, czyli blaski tak się pewnemu felietoniście paryskiemu podobały, że uznał je za sygnały, przesyłane nam przez mieszkańców Marsa, a wnet znaleźli się ofiarodawcy, którzy w dobrej wierze złożyli znaczne fundusze na nagrody dla tych, co zdołają znaki te odcyfrować i ustalą prawidłową komunikacyę telegraficzną między nami a pobratymczym nam planetą.

W każdym razie szkoda wielka, że nie rozumiemy, co nam mieszkańcy Marsa telegrafują, moglibyśmy bowiem rozstrzygnąć wreszcie pytanie, czy sławne kanały, przerzynające jego lądy, a posiadające szerokość 30 do 200 kilometrów, są to dzieła sztuczne, przez istoty rozumne dokonane, czy też utwory naturalne, które wskutek samego rozwoju planety powstały.

W niedawno wydanem dziele o Marsie i o warunkach jego zaludnienia, znany pisarz francuski Kamil Flammarion nie po raz pierwszy zresztą argumentuje na korzyść pierwszego z tych poglądów, nie sądzi bowiem, by ze względu na prostolinijny bieg swój i układ geometryczny, kanały te mogły być utworami przyrody; widzi w nich roboty istot rozumem obdarzonych, rezultaty pracy ludzkości starszej, która potęgą swoją intelektualną wzniosła się znacznie po nad młodą jeszcze i niedołężną, a przez hydrę wojny wciąż wycieńczaną ludzkość ziemską.

Kula Marsowa, mówi ten autor, przez pracę stuleci uledz musiała zupełnemu zniwelowaniu, a woda w niewielkiej już tylko znajduje się tam ilości. Co po upływie kilku milionów lat stać się musi na ziemi, dokonało się już na Marsie. Pod wpływem działalności wody meteorycznej, czyli opadów wodnych, ścierają się zwolna góry nasze, rzeki unoszą gruzy ich do oceanów, których dno coraz bardziej się zapełnia. Zarazem zaś zmniejsza się ogólna ilość wody, przenika ona bowiem w głąb skorupy ziemskiej lub też wiąże się z częściami składowemi skał, tworząc wodany.

Podobnież każda bryła światowa niweluje się stopniowo, tak też dziać się musiało na Marsie. Dostrzegając więc ubytek wody i klęski przez częste zalewy zrządzane, mieszkańcy Marsa wszelkie usiłowania zwrócić ku temu musieli, by na powierzchni starzejącej się planety prawidłowy rozkład wody zaprowadzić, a wytrwałość ich uwieńczona została zdumiewającym systemem hydrograficznym, który my dziś zdala podziwiamy, a którego wymiary olbrzymie tłómaczyć się dają potężnymi środkami mechanicznymi, jakie wyższa inteligencya techników Marsa zdobyć im dozwoliła.

Zapewne, przypuszczenie bytu istot inteligentnych na innej planecie, pojęć naszych naukowych razić w niczem nie może, ale odwoływanie się do istot takich dla wyjaśnienia zjawisk, na planecie tej dostrzeganych, wydaje nam się hypotezą, zgoła charakteru naukowego pozbawioną. Moglibyśmy ją chyba przytoczyć, gdybyśmy już stanowczo wiedzieli, że prostolinijnych i olbrzymich bruzd takich przyroda sama wytworzyć nie zdoła; tego wszakże twierdzić nie możemy, choć żadnego śladu utworów podobnych na ziemi nie znamy, ale prostolinijne smugi występują przecież na księżycu, w postaci pręg, rozbiegających się promienisto z kraterów. Nie dorównywają one wprawdzie wymiarami, ani prawidłowością kanałom Marsowym i tłómaczyć się dają jako skutki dawnych wybuchów wulkanicznych, gdy pochodzenie kanałów Marsowych jest dla nas zagadkowe; daleko łatwiej wszakże, wraz z Schiaparellim, pojmować je możemy, jako rozpadliny przez sam rozwój geologiczny planety wytworzone, niż jako dzieła sztuczne rąk ludzkich.

W każdym razie pojmujemy łatwo, że tłómaczenie szczegółów, jakie luneta na powierzchni sąsiedniej nam planety ujawnia, nastręczyć musi wątpliwości, o przyrodzie bowiem obcego nam świata, snuć możemy jedynie domysły, mniej lub więcej dowolne, które dowodami dokładnymi poprzeć się nie dają. Dlatego też dziwić się nie można, że nie wszyscy astronomowie szczegółom dostrzeżonym jednakie przypisują znaczenie i jednakie z nich wyprowadzają wnioski.

Jak wiadomo, najdawniejsi już astronomowie, którzy w wieku szesnastym doniosłość wzroku swego lunetą wzmogli, dostrzegli na powierzchni Marsa miejsca jaśniejsze i ciemniejsze, a w pobliżu biegunów jego, białe plamy zmiennej wielkości. Obszary jaśniejsze zaczęto dawno już pojmować jako lądy, okolice ciemniejsze jako morza, białe zaś plamy wytłómaczono, jako lody i śniegi podbiegunowe. Pogląd ten utrwalał się coraz bardziej, a obecnie hołdują mu najwybitniejsi badacze Marsa, Schiaparelli przedewszystkiem. Zgoła różne wszakże stanowisko w zapatrywaniach swoich przyjęli niektórzy astronomowie amerykańscy, zwłaszcza zaś astronomowie słynnego obserwatoryum kalifornijskiego, Licka, którzy rozporządzają najpotężniejszą, z dotąd zbudowanych, lunetą.

Sądzą i oni wprawdzie, że powierzchnia Marsa zajęta jest przez morza i lądy, ale wręcz przeciwnie, aniżeli inni astronomowie przyjmują że miejsca jasne Marsa stanowią morza, a ciemne lądy; co się zaś tyczy prostolinijnych smug ciemnych, przerzynających obszary jasne, którym nadajemy nazwę kanałów, mogłyby to być pasma górskie, wznoszące się z głębi oceanów.

Między argumentami, na które się wspomnieni astronomowie powołują, najważniejszy bodaj jest fakt, dający się zawsze dostrzedz z góry Hamiltona, na której obserwatoryum jest wzniesione. Z wysokości 2400 stóp otwiera się tam widok na sąsiednią dolinę, a zatoka San Francisko rozpościera się w odległości kilku ledwie mil angielskich — otóż w każdej porze dnia i przy wszelkich warunkach oświetlenia, zatoka okazuje się jaśniejszą, niż ląd otaczający; jasne okolice ziemskiego tego krajobrazu są wodą.

Nie zdaje się wszakże, by spostrzeżenie to obalić mogło pogląd powszechnie przyjmowany. Okolica Mount Hamilton pokryta jest lasem i stąd wydaje się ciemniejszą, aniżeli woda; wybrzeża piaszczyste i skaliste są w ogólności jaśniejsze niż morze, wtedy mianowicie, gdy obserwator ma słońce po za sobą lub w ogólności, gdy promienie od wody odbite, do oka jego wprost nie przybywają. Powierzchnia bowiem wody spokojnej działa jak zwierciadło wygładzone, które odrzuca promienie w oznaczonym kierunku, samo zaś wydaje się ciemnem; jest niedostrzegalnem prawie; jasną natomiast staje się powierzchnia chropowata, rozpraszająca światło na wszystkie strony. Tak odrzucające promienie światła przedmioty, wydają się świecącymi, stąd pochodzi blask atmosfery, rozjaśniający nam niebo. Wzburzone przez fale pomarszczone morze, traci charakter zwierciadła, a ilość światła rozproszonego przeważa i nadaje mu blask żywszy. Spokój wszakże atmosfery na Marsie, brak w niej chmur burzliwych, przemawia też za tem, że i na morzach tamecznych pokój przeważnie panuje, a w takim razie, skoro nie mamy powodu do przypisywania im powierzchni wciąż wzburzonej, nie możemy im też przyznawać jasności silniejszej, aniżeli przestworzom lądowym.

Najosobliwszem wszakże zjawiskiem, jakie nam powierzchnia Marsa przedstawia, jest podwajanie się kanałów, występujące w niektórych porach i wiążące się może z topnieniem lodów podbiegunowych.

Wskutek nagłego przeobrażenia, którego szczegółów dotąd należycie rozpatrzeć nie zdołano, okazuje się dany kanał przeistoczonym w dwie linie lub smugi jednakie, biegnące równolegle względem siebie, z geometryczną dokładnością dwu szyn drogi żelaznej, w odległości od 600 kilometrów, aż do ostatecznej granicy, przy której dwie linie mogą być jeszcze oddzielnie widziane w wielkich lunetach, a którą na 50 kilometrów oceniać można.

Brak jakiejkolwiek analogii tych przeobrażeń do objawów ziemskich naszej przyrody, utrudnia ich zrozumienie. Obserwator, umieszczony na księżycu, mógłby zapewne mieć świadomość o następstwach pór roku, a nawet i dla obserwatora na Marsie, mógłby się stać widocznym rozwój roślinności wiosennej na planecie naszym, a to przez nagłą zmianę barwy rozpatrywanych okolic. Jakżeby jednak trudno przyszło mieszkańcowi księżyca lub Marsa odgadnąć przyczynę tych zmian, któreby w wyglądzie ziemi dostrzegał.

Tak też i my, co tak słabo zaledwie znamy właściwości fizyczne Marsa, a nic zgoła o ich świecie organicznym nie wiemy, napotykamy trudności nieprzezwyciężone, chcąc rozstrzygnąć, które z mnóstwa nasuwających się tłómaczeń słusznem być może. Rozjaśnić to może zdoła nowa jakaś wskazówka, nieznana dotąd metoda badań, podobnie jak analiza spektralna niespodzianie dała nam możność poznawania składu chemicznego ciał niebieskich.

Od tych świateł niebieskich zwrócimy się do świateł ziemskich, w dziedzinie bowiem oświetlania sztucznego mamy do zaznaczenia odkrycie nowe, któremu wspaniałą rokują przyszłość.

Zwykły gaz oświetlający nie jest jednorodnym związkiem chemicznym, ale raczej mieszaniną różnych gazów, które bardzo niejednaką posiadają zdolność oświetlającą, a przeważają w nim substancye zbyt mało zawierające węgla, którego cząstki rozżarzone właśnie płomieniowi zdolność świecenia nadają. Jedną z najkorzystniejszych części składowych tego gazu jest pewien węglowodór, czyli związek węgla z wodorodem, dla pokrewieństwa swego z kwasem octowym, acetylenem zwany; posiada on wartość oświetlającą 15 razy wyższą, aniżeli zwykły gaz, w latarniach naszych płonący, znajduje się w nim wszakże tylko w ilości, nie przechodzącej jednej lub dwu odsetek.

Pojmujemy więc bardzo łatwo, jaką korzyść przynieść może dodatek większej ilości acetylenu do zwykłego gazu oświetlającego, otrzymywanie wszakże tego związku chemicznego nastręczało dotąd znaczne trudności. Z tlenem łączy się węgiel chciwie i dlatego łatwo pali się w powietrzu, ale do wiązania się z wodorem nie okazuje zgoła pochopu; można go do związku tego znaglić jedynie przymusem, energią silnego prądu elektrycznego; otrzymuje się w ten sposób acetylen przez bezpośrednie łączenie, czyli przez syntezę pierwiastków w skład jego wchodzących, to jest węgla i wodoru, do celów wszakże praktycznych metoda ta jest zbyt mozolna i kosztowna.

Obecnie dopiero poznano dogodniejszy i tańszy sposób wytwarzania acetylenu. Ogrzewając mianowicie mięszaninę wapna z pyłem węglowym w wysokiej temperatrze pieca elektrycznego, otrzymał chemik angielski, Wilson, związek węgla z wapniem, to jest z metalem, który stanowi zasadniczą część składową wapna. Węglik ten wapnia, po wydobyciu z pieca, przedstawia się w postaci masy szklistej, która ma tę własność, że w zetknięciu z wodą ulega

29)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

„Nasi robotnicy? rzekł arcybiskup. Niczego od nich nie należy się obawiać. Przedewszystkiem są to dobrzy ludzie, a nawet ci, którzy nie są dobrzy, mają zdrowy zmysł. W każdym Amerykaninie, czy to na najwyższym czy na najniższym stopniu drabiny społecznej, jest nierównie więcej zmysłu konserwatywnego, aniżeli Europejczyk sobie wyobraża. Nad całem społeczeństwem tutejszem, zarówno nad biednym wyrobnikiem dziennym jak i nad milionerem, góruje tu poczucie prawa. Robotnik amerykański nie jest rewolucyonistą. Zanadto on ceni to, co ma, ażeby marzyć o porządku społecznym z gruntu odmiennym od dzisiejszego. Ale jakkolwiek godzi się na obecny porządek, chce się jednak bronić przeciw niemu. Czyż można mu to brać za złe? Broni się zatem przez stowarzyszenia. I tego nie można mu brać za złe. Idea stowarzyszeń jest już właściwą tej rasie. Bogaci ludzie bawią się w swoich klubach, dlaczegóżby i robotnicy nie mieli łączyć się w swoje kluby, tj. w stowarzyszenia? Wielki krok naprzód uczyniono, gdy te stowarzyszenia zawodowe związały się ze sobą w jedno wielkie stowarzyszenie. Dla czegożby tego nie miały uczynić? W ten sposób powstało wielkie stowarzyszenie „rycerzy pracy". Mojem zdaniem, pomimo nieuniknionych wybryków, jest to rzecz dobra. Kapitaliści bowiem zaczynają pojmować, że trzeba się liczyć z temi wielkiemi siłami zbiorowemi. Cóż z tego wynika? Oto dyskutuje się, a dyskusya jeszcze najprędzej prowadzi do porozumienia się. I tak w tym roku dyrekcya jednej z zachodnich kolei żelaznych widziała się zmuszoną zniżyć płace robotników, gdyż dochody kolei znacznie spadły. W jakiż więc sposób załatwiono sprawę? Oto prezydent kolei wdał się w rokowania nasamprzód z reprezentantami maszynistów. Te rokowania trwały cztery dni. Robotnicy zażądali wyłuszczenia powodów zmniejszenia płac, badali więc gruntownie bilans kolei, ażeby się przekonać, do jakiej kwoty dochody muszą wzrosnąć, ażeby dawne płace zostały przywrócone. Skończywszy konferencyę z prezydentem kolei, konferowali następnie reprezentanci robotników ze swymi kolegami i ostatecznie cała armia robotnicza zgodziła się na redukcyę płac. Trzeba było panu być na jednej z tych konferencyi prezydenta kolei z robotnikami, a poznałbyś, do jakiego stopnia sięga w tym kraju równość wszystkich stanów. Ale nic w tem dziwnego. Aferzysta amerykański zanadto bliskim jest jeszcze owego czasu, w którym sam był robotnikiem i za bliskim jest ludu, ażeby rozmawiając ze swymi robotnikami, nie wiedział, do kogo mówi, i co ma im powiedzieć. Są to ludzie, którzy wiedzą o tem, że pochodzą z tej samej rasy, a to wiele znaczy."

Po tych słowach zamilkł arcybiskup. Właśnie miał poruszyć przykry dla niego przedmiot. Z każdego słowa jego czułem, że drga w nim apostoł, który wyszedł z gminu i sam swem pochodzeniem będąc tak samo bliskim tych maluczkich jak owi aferzyści, o których mi mówił, cieszy się na widok postępu robotników, a boleje nad ich błędami. Po chwili milczenia mówił dalej: „Nasz robotnik ma jednak dwie wielkie wady.

„Pierwszą, większą, jest nieumiarkowanie, niestety w używaniu alkoholu, gdyż wina ci ludzie prawie wcale nie piją. Prowadziliśmy i wciąż prowadzimy zażartą walkę przeciw temu występkowi, ale nie zwalczyliśmy go.

„Drugą wadą jego jest rozrzutność. Skoro tylko ma pieniądze, wydaje je. Chciałby on, żeby jego córka była wielką damą. W domu jego znajdziesz pan dywany, fortepian i inne kosztowne sprzęty. Nie dla tego sprawia on te kosztowne rzeczy, jakoby był wrażliwym na zbytek, lecz z powodu głęboko wkorzenionego poczucia równości. Zdaje mu się to czemś naturalnem a nawet koniecznem, ażeby zbytek dostępny był dla każdego. Za to, gdy przyjdą złe lata, jest biedny i cierpi niedostatek. Towarzystwa asekuracyjne pomagają mu cokolwiek w tej biedzie.

„Co prawda, oprócz rozrzutnych jest także wielu takich robotników, którzy rozsądnie gospodarują. Wielu z nich doprowadza do tego, że kupuje plac, na którym buduje dom, a zaraz w sąsiedztwie drugi plac na spekulacyę. Dla tego też nie ma u nas nienawiści kapitału. Następnie trzeba wziąć to na uwagę, że robotnicy nasi są moralni i religijni. Mówiono mi, że w Europie konkubinat jest prawdziwą plagą biednych klas. U nas nie ma czegoś podobnego. Cnoty tych ludzi określę panu najlepiej, jeżeli powiem, że Kościół tutejszy największą nadzieję pokłada w robotnikach. Robotnik katolicki każdy jest katolikiem praktykującym. W czasie Świąt Wielkanocnych wszyscy prawie bez wyjątku przystępują do spowiedzi i komunii św. Otóż ta żarliwość religijna ludu daje nam tę cudowną sposobność krzewienia katolicyzmu, o której nieraz wspominałem. Ten kraj niezmierzony jest bowiem tak nowym, tak pozbawionym przesądów, a tak odczuwa coraz więcej potrzebę porządku społecznego, opartego na jedności, która znów jest cechą właściwą tylko Kościołowi katolickiemu. Ażeby jednak ta jedność zamanifestowała się w całej pełni, potrzeba rozwiązać wielki problemat. Oto Kościół katolicki tutaj musi być naprawdę amerykańskim, a zatem przedewszystkiem musi posługiwać się jednym językiem. Pod tym względem jednak nasuwa się poważna trudność. W liczbie naszych wiernych znajduje się wielu emigrantów: Niemców, Polaków, francuskich Kanadyjczyków. Nie władają oni żadnym językiem, tylko swoim rodzinnym, a przybywają z kapłanami znającymi także tylko ich język rodzinny. W tem leży rzeczywiste niebezpieczeństwo. Gdybyśmy im w naszych dyecezyach narzucili język angielski, ci kapłani mogliby zostać bez owieczek, a owieczki bez kapłanów.

Pomimo to jednak trzeba zmuszać jednych i drugich do uczenia się języka angielskiego, ażeby nasz Kościół nie rozprószył się na seryę lokalnych kaplic. Trudno oczywiście wymagać od pierwszej generacyi, ażeby wyuczyła się po angielsku, druga już wszakże składać się będzie z katolików naprawdę amerykańskich. Pod tym względem jeszcze czeka nas walka. Niemcy wnieśli już petycyę do Rzymu, ażeby byli tu biskupi rozmaitych języków i ażeby każda narodowość miała odpowiednią liczbę swoich własnych biskupów. Otóż na 10 mil katolików mamy tu przeszło trzy miliony Niemców. Trzecią część biskupów stanowiliby Niemcy, oczywiście wobec tego przepadłaby jedność naszego Kościoła. Na szczęście Niemcy, którzy wysłali tę petycyę, wmięszali politykę do tej sprawy, dowodząc, że taki podział odpowiada interesom państw europejskich. Tem zadrasnęli patryotyzm Amerykanów, którzy zaniepokoili się i dzięki temu zwyciężyliśmy. Panie, nasza przyszłość jest olbrzymia, pod warunkiem jednakże, że pozostaniemy szczerymi Amerykanami i demokratami. Potrzeba nam kapłanom trzech rzeczy: dobrych obyczajów — mamy je; wiernych: immigracya dostarcza nam ich; wreszcie inteligencyi — otóż nasze uniwersytety i seminarya dostarczają nam jej w coraz obfitszej mierze. Ale rozumie się samo przez się, że nie wczorajszej inteligencyi nam potrzeba, tylko dzisiejszej, jutrzejszej, inteligencyi dwudziestego stulecia."

Jeden z moich przyjaciół, Francuz, od dziesięciu lat zamieszkały w Nowym Yorku, potrząsnął niedowierzająco głową, gdy mu odczytałem streszczenie moich rozmów z tymi dwoma prałatami. Zna on dobrze Stany Zjednoczone i sądzi, że grozi im jeżeli nie katastrofa, to przynajmniej zaburzenie. Dodać muszę, że jest on pessymistą, nienawidzi demokracyi i żyje w stanie ustawicznej wściekłości przeciw pozytywizmowi społeczeństwa amerykańskiego. „Tak, tak — rzekł z ironicznym uśmiechem — chciałbym, ażeby ci dwaj arcybiskupi byli tutaj. Przedłożyłbym im te dokumenta, a ciekaw jestem, coby mi na to powiedzieli." I wysuwając szufladę ze swego biurka, dobył z niej kilka broszur i notatek i rzekł: „To nie są same tylko idee i frazesy, to są fakta i cyfry. Zbieram je jako materyały do wielkiego dzieła, którego może nigdy nie napiszę, a zbieram je ze sprawozdań urzędowych „biura pracy" z ostatnich lat dziesięciu. Tym datom nikt zaprzeczyć nie może. Jesteśmy obecnie w styczniu 1894, a nie dalej jak dwadzieścia dni temu, z końcem grudnia, urzędownie skonstatowano, że w dwóch tylko Stanach, nowojorskim i nowodżersejskim, liczba robotników, nie mających pracy, wynosiła 223.200. W Pensylwanii było ich 151.500. A zatem bez przesady można przyjąć, że w Stanach Zjednoczonych jest obecnie przeszło ośmset tysięcy robotników bez zajęcia. Dodajmy do tego ze dwa miliony kobiet i dzieci, należących do ich rodzin, a dojdziemy do tej smutnej konkluzyi, że w tej chwili, w tej strasznej zimie, w tej ogromnej republice, w tym raju proletaryuszy jest trzy miliony istot ludzkich, które literalnie umierają z głodu. I jakżeż nie wierzyć w bliskość rewolucyi w kraju, w którym są podobne armie ludzi zrozpaczonych, gotowych pójść za pierwszym lepszym agitatorem, który potrafi ich podburzyć? A ci wszyscy zgłodniali ludzie są zaciągnięci w szeregi jakiejś organizacyi, a obok nich istnieje jeszcze inna armia, prawie równie nędzna, armia robotników coraz gorzej płatnych."

C. d. n.

przeobrażeniu chemicznemu i wywiązuje obficie gaz, który jest właśnie tym pożądanym acetylenem. Jeżeli więc posiadamy bryłkę tego związku, wystarcza skropienie jej wodą, by wydobyć gaz, który po zapaleniu wciąż płonie, wydając jasne światło, dopóki bryłka cała nie zamieni się w wapno. Przy należytem tedy uregulowaniu dopływu wody wywiązywać się może strumień gazu oświetlającego w żądanej obfitości, a fabrykę gazu mieć możemy na zawołanie we własnem mieszkaniu. Acetylen daje się też łatwo skroplić, mógłby więc być w stanie ciekłym przechowany w odpowiednich zbiornikach, czyli butelkach żelaznych, zkąd przez otworzenie kranu żądaną ilość gazu możnaby wypuszczać.

Zanim jednak z nowego tego gazu oświetlającego korzystać będziemy, nastręczają się jeszcze do pokonania różne trudności techniczne.

Przy zastosowaniu zwykłego palnika gazowego płomień acetylenu byłby zbyt kopcącym, należy go tedy przed spaleniem zmięszać w stosunku odpowiednim z powietrzem; ale ztąd znowu powstają łatwo niebezpieczne mięszaniny wybuchające. Zanim wszakże taka lampa acetylenowa wynalezioną i zbudowaną zostanie, prędzej zapewne znajdzie acetylen zastosowanie jako dodatek do dotychczasowego gazu oświetlającego, jasność bowiem płomienia jego znacznie podsycić może. Przy walce zaciętej, jaką obecnie oświetlenie gazowe prowadzi z elektrycznem, a która daje pochop do coraz nowych udoskonaleń urzeczywistni się to rychło zapewne.

Z innego jeszcze względu jest acetylen dla chemika ciałem szczególnie zajmującem, jestto bowiem jedyny węglowodor, jaki udało się otrzymać przez bezpośrednie łączenie, przez syntezę składających go pierwiastków. Przez odpowiednie zaś procesy z tego jednego najprostszego węglowodoru otrzymawać może inne, bardziej zawiłe węglowodory, bardziej złożone związki węgla, alkohole, cukry, tłuszcze, a zatem związki organiczne, wytwarzające się w ciele roślin i zwierząt. Sztuczne to otrzymywanie związków węgla, czyli ciał organicznych, synteza ich z pierwiastków, w przyrodzie martwej zawartych, stanowi najwyższy tryumf i chlubę chemii współczesnej. Chemia dokonywa obecnie zadań, które niedawno jeszcze zgoła były niemożebnemi i niedostępnemi, których tajemnicę, zdawało się, przyroda na wyłączną swą własność zachować chciała.

KRONIKA.

Lwów 13 maja.

Mianowania. Ministerstwo handlu zamianowało oficyała pocztowego Leona Müllera kasyerem pocztowym w Złoczowie. — P. Namiestnik zamianował asystentów sanitarnych dr. Włodzimierza Szczepańskiego w Ropczycach i dr. Władysława Pohoreckiego w Husiatynie lekarzami powiatowymi II klasy.

Przeniesienia. P. namiestnik przeniósł asystentów sanitarnych dr Henryka Nycza z Drohobycza do Zbaraża i dr. Wiktora Borysikiewicza ze Lwowa do Doliny.

Obywatelstwo honorowe nadała Rada miasta Podgórza JE. p. Namiestnikowi Kazimierzowi hr. Badeniemu.

Dar. Pogorzelcom gminy m. Wojnicza udzielił Cesarz zapomogi w kwocie 500 zł.

Żałobne nabożeństwo za duszę śp. Róży hr. Lanckorońskiej urządzają artyści teatru lwowskiego jutro we wtorek o godzinie 10 rano w kościele archikatedralnym. Mszę św. odprawi ks. infułat Mazurak. Podczas nabożeństwa orkiestra i chóry teatralne pod kierunkiem p Jareckiego wykonają mszę żałobną; partye solowe odśpiewa p. Pawlików-Nowakowska.

Regulacye rzek galicyjskich. Minister rolnictwa wniósł w Izbie posłów uzupełnienie do preliminarza na r. 1895. Z ogólnej kwoty 81.944 zł. przypada na Galicyę 42.069 zł., a mianowicie na regulacyę potoku Przegnojówka, jako pierwsza rata 9000 zł., na uzupełnienie regulacyi rzeki Łęgu jako pierwsza rata 13.533 złr. i na uzupełnienie regulacyi potoku Kisielina jako pierwsza rata kwota 11.136 złr.

Język polski na Szląsku. Z Cieszyna donoszą, iż tameczna Rada miejska uchwaliła na ostatniem posiedzeniu nie zaprowadzać języka polskiego jako obowiązkowego w miejskich szkołach ludowych. Donoszą również, iż szląski inspektor krajowy p. Weber oświadczył, że nie dopuści do otwarcia w tym roku polskiego gimnazyum w Cieszynie.

Magistrat m. Przemyśla uchwalił przedłożyć Radzie miejskiej wniosek o zaprowadzenie w mieście oświetlenia elektrycznego.

Walne zgromadzenie Towarzystwa ochotniczej straży pożarnej „Sokół" odbyło się wczoraj po południu we Lwowie. Ze sprawozdania przedłożonego zebranym dowiadujemy się, że Towarzystwo to liczy 19 członków honorowych, 106 wspierających i 101 czynnych. Majątek Towarzystwa przedstawia wartość 10.218 zł. Sprawozdanie to przyjęto do wiadomości, poczem udzielono wydziałowi absolutoryum i uchwalono mu podziękowanie za energiczną działalność. W miejsce ustępujących członków wydziału wybrano na nowo tych samych, tj. pp.: Jana Klapkowskiego, Wojciecha Fruauffa i Jana Kostiuka; w skład sądu polubownego weszli pp.: Władysław Gubrynowicz, Wincenty Kuźniewicz, dr. Edward Madeyski, dr. Kazimierz Ostaszewski Barański i dr. Gustaw Roszkowski. Również i komisya kontrolująca pozostała w tym samym składzie, a mianowicie tworzą ją pp. Karol Sklepiński, Adolf Stroner i dr. A. Zgórski.

Wkońcu wezwano wydział, aby zajął się stanowczo w tym roku urządzeniem jubileuszu i poświęceniem sztandaru, jak również, aby posunął ile możności naprzód sprawę budowy własnej strażnicy.

Konkursa. Dyrekcya poczt i telegrafów ogłasza z terminem do 17 b. m. konkurs na posadę ekspedyenta w urzędzie pocztowym w Sieniawie obok Maksymówki w pow. zbarazkim, zaś z terminem do 19 maja na posadę ekspedyenta w Majdanie sieniawskim w pow. jarosławskim. — Wydział Powiatowy w Sanoku odwołuje konkurs ogłoszony na posadę lustratora.

Sprzeniewierzenie. Poborca podatkowy w Pilźnie, Wojciech Krzeptowski, sprzeniewierzywszy przeszło 24.000 z pieniędzy podatkowych, uciekł. Wysłano za nim listy gończe.

Nowa poczta. Z dniem 16 maja wejdzie w życie urząd pocztowy w Medyni głogowskiej w powiecie łańcuckim dla gmin i obszarów dworskich Medynia głogowska i Medynia łańcucka, Pogwizdów, Węgliska i Zalesie.

Demonstracya w tonie niedystyngowanym. We środę otwierają w Pradze wystawę etnograficzną słowiańską, a wieczorem dla gości zaproszonych na tę uroczystość daje raut rada miejska praska. Zaproszeń na to otwarcie rozesłano zapewne krocie, kiedy np. otrzymały je także wszystkie redakcye pism polskich. Ale młodoczesi nie ominęli i tej sposobności, aby urządzić demonstracyę w guście ich specyficznym. Oto komitet miejski, w którym oni mają przewagę lubo że się składa z radnych miejskich, a więc z ludzi, którzy w czcze d monstracye nie powinni się bawić, uchwalił 9 głosami przeciw 8 nie zaprosić na ów raut namiestnika hr. Thuna.

Komunikacya między Krakowem a Warszawą. Brak bezpośredniej komunikacyi między Krakowem a Warszawą daje się odczuwać bardzo dotkliwie osobliwie w sezonie letnim, gdy tysiące osób z Królestwa Polskiego wyjeżdża do kąpiel w Galicyi. Rozkład jazdy pociągów na kolei północnej jest tak fatalny, że jadąc z Krakowa do Warszawy traci się na przystanki w stacyach: Trzebinia, Szczakowa i Granica, trzy godziny 24 minut a w kierunku odwrotnym dwie godziny i 5 minut, podczas gdy sama jazda na 171 kilometrowej przestrzeni między Trzebinią a Granicą wynosi zaledwie godzinę i 40 minut. Każdy zatem jadący z Krakowa do Warszawy i napowrót, traci wskutek czekania na tych 3 stacyach 5 i pół godziny, gdy przestanki powinny wynieść co najwyżej godzinę. Ten niewygodny stan rzeczy, będący powodem ciągłego niezadowolnienia publiczności, skłonił krakowską izbę handlową do przedstawienia zarządowi kolei północnej, że koniecznie powinien zaprowadzić osobny pociąg między Krakowem a Granicą. Słuszne uwagi izby handlowej poprze niezawodnie krakowska rada miejska, wydział powiatowy i tow. rolnicze a także Polacy, należący do rady nadzorczej tej kolei.

Smutny wypadek na wyścigach. Z Warszawy piszą nam dnia 9 b. m. Dziś rozpoczęły się wyścigi wiosenne i gdyby nie smutny wypadek, jaki się w dniu pierwszym zdarzył, wynik ich możnaby nazwać pomyślnym, gdyż wśród zwycięzców widzi się nie tylko nowe, nie odznaczone dotychczas konie, ale nawet dwie stajnie, które na turfie nie probowały dawniej sił swoich. Prócz wypróbowanych na torze warszawskim koni, jak „Weraks" lub „Łowczy" zdobyły nagrodę: znana z zwycięstw za granicą L. Grabowskiego „Aubergine", J. Reszkego „La Revanche", S. Sonnenberga „Propatria", Greya „Żurża", Wedernikowa „Kadudża" i Szepskiego „Dalipan". Wspomniany wypadek zdarzył się przy szóstym biegu, dwuwiorstowym o nagrodę sprzedażną 500 rubli. Od startu ruszyło pięć koni, wśród nich „Little Gnom" p. Iżyckiego pod znanym żokiejem Donnem. Kiedy zbita gromadka koni mijała pierwszy raz metę z piersi widzów wyrwał się głośny okrzyk przerażenia, „Little Gnom" bowiem runął z niesłychaną siłą na ziemię, przywalając jeźdźca. Reszta koni pocwałowała dalej a obie ofiary, koń i jeździec pozostały na torze nie dając znaku życia. Żokieja przeniesiono bezprzytomnego do kancelaryi wyścigowej, a ztąd do szpitala. Skonstatowano u niego silne potłuczenie, nadwyrężenie kręgosłupa i wstrząśnienie mózgu. W tych warunkach życie biednego żokieja na godziny może być policzone. Koń zaś z prawą nogą w dwóch miejscach złamaną, został przez dyżurnego weterynarza dobity. Wypadek ten wywarł na publiczności nader przykre wrażenie. Cały proces dobijania konia, wraz z uprzątaniem z toru przy pomocy dorożkarskich koni był arcy-niefortunny i wywołał powszechne oburzenie, jak nie mniej iż żokieja musiano unieść z toru na rękach, zarząd wyścigów bowiem, mimo, że przecież nic łatwiejszego, jak o wypadek na torze, nie postarał się o nosze dla przeniesienia żokieja i o wózek dla usunięcia zwłok konia.

Nasze sługi przeważnie nie odznaczają się wcale sumiennością w spełnianiu swych obowiązków, a wczoraj lekkomyślność jednej z nich stała się przyczyną wielkiego zmartwienia dla pp. M. Wysłali oni ze służącą dwuletnie swe dziecko na przechadzkę do ogrodu jezuickiego. Sługa na powierzone jej opiece dziecko tak uważała, iż po godzinie wróciła do domu sama, zmięszana, pytając się, czy dziecko samo przypadkowo nie wróciło do domu, bo ona nie wie, co się z niem stało. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania za zgubionem dzieckiem, ale do późnej nocy go nie znaleziono. Bezwątpienia, że biednemu zbłąkanemu maleństwu nic się nie stanie i że ktoś się niem zaopiekował, ale lekkomyślność sługi naraziła rodziców dziecięcia na wielki niepokój, który w tym wypadku jest tem przykrzejszy, że matka dziecka jest chorą i zmartwienie to może pogorszyć stan jej zdrowia.

W Wiedniu dyrekcya policyi wydała zarządzenie, aby wszyscy policyanci odbywający służbę w ogrodach i miejscach spacerowych, uważali na sługi, by one dzieci powierzone ich opiece nie zostawiały samych i aby się nad niemi nie znęcały. Rozporządzenie takie wydane przez dyrekcyę policyi lwowskiej mogłoby przynieść i mieszkańcom Lwowa wielkie korzyści. Często bowiem można widzieć w parku stryjskim, w ogrodzie jezuickim, lub w innem miejscu spacerowem, iż sługi o dzieci, którym towarzyszą, zupełnie się nie troszczą. Zatopione zwykle w rozmowie ze swymi adonisami, synami Marsa, pozwalają dzieciom biegać samopas, a często się zdarza, iż gdy dziecko chce wracać do domu, lub przejść na inne miejsce, służąca, aby nie przerywać miłej rozmowy, nie tylko nie czyni zadość prośbie dziecka, lecz nieraz jeszcze je za rzekomy upór dobrze wybije. Gdyby policya wydała odpowiednie zarządzenie i gdyby sługi wiedziały, że choć nie ma w pobliżu rodziców dziecka, to jednak czuwa nad niemi władza, wówczas z pewnością zachowywałyby się inaczej i nie byłoby wypadków takich jak wczorajszy.

Z pod Mostów wielkich donoszą nam o dwóch wypadkach, które wskazują jak koniecznem jest pomnożenie żandarmeryi w tej okolicy. I tak na dniu 4 maja postrzelony został z rewolweru pewien gospodarz w chwili, gdy późnym wieczorem schwytał koło stajni kilka podejrzanych indywiduów, chcących mu skraść konie. Wkrótce potem, 8 maja, w Batiatyczach o godz. 6 rano zamordowano żyda arendarza z Dernowa koło Kamionki, ojca 9 dzieci i to godząc go kamieniami w głowę. Nieszczęśliwy miał 14 dziur w głowie i nożem pokrajaną twarz. Pierwszej pomocy dającemu znaki życia udzielił przełożony obszaru dworskiego p. Tadeusz Romanowski, morderstwo bowiem dokonanem zostało na polu dworskiem. Śmiertelnie rannego przewieziono do sądu w Kamionce, a władze sądowe w Mostach użyły energicznych środków, by odkryć zbrodniarzy, co już po części się udało, gdyż sprawdzono, że mordercami są miejscowi parobcy. Podobne napady dzieją się często, a złodzieje w biały dzień kradną i rozbijają. Winna temu ta okoliczność, że posterunek żandarmeryi oddalony jest o 3 mile w Żołtańcach, więc ledwie co 14 dni żandarm może zajrzeć. Wieś Batiatycze jest ostatnią i o 4 mile oddaloną od starostwa w Żółkwi, a ludnością (8000 dusz) przewyższa wszystkie w powiecie. Posterunek żandarmeryi w Batiatyczach jest zatem niezbędnie potrzebnym, bo zresztą same władze mają o tej wsi jak najgorsze wyobrażenie.

Wyścigi cyklistów. Meeting wyścigowy w tym roku rozpoczęli wczoraj lwowscy cykliści urządziwszy wyścigi na metę 56 kilometrów, a więc razem przeszło 7 mil. Drogą, na której miał odbyć się wyścig był gościniec stryjski, teren dla cyklistów uciążliwy, bo nie równy, poprzerywany licznemi wzniesieniami. Dzień wczorajszy sprzyjał wyścigom. Pogoda była prześliczna, a gorące promienie słońca łagodził lekki wietrzyk. Do wyścigów zgłosili się członkowie lwowskiego klubu cyklistów pp. Aleksander Turzański, Józef Romaszkan, Henryk Mikolasch i dr. Fryderyk Kratter, a w ostatniej chwili przyłączył się do nich p. Arnold Friedrich. Komitet sędziów stanowili pp.: Wiktor Krobicki, Henryk hr. Morstin, Jarosław Pieniążek i Albin Todschindler. Jako starterzy fungowali pp. dr. Maryan Dawidowski i Kazimierz Borkowski, kontrolę zaś przy punkcie zwrotnym powierzono pp. Tadeuszowi Kuschée i Gustawowi Schnedrowi.

O godzie 4 starter p. Dawidowski dał znak i cykliści ruszyli z miejsca. Wkrótce atoli liczba ścigających się zmniejszyła się o dwóch, którzy powrócili z czwartej części drogi. Byli to pp. Kratter i Romaszkan. Pierwszemu popsuł się pneumatyczny obręcz, drugiemu zaś odmówiły posłuszeństwa pedały wprawiające bicykl w ruch.

Pomknęło więc w wyścig tylko trzech zapaśników. Powrotu ich spodziewano się między godziną 6 a 7. Przed godziną szóstą koło mety poczęły się gromadzić tłumy publiczności, aby zobaczyć zwycięzcę. Po gościńcu stryjskim uwijało się kilkunastu cyklistów i jedna cyklistka, oczekując przybycia zapaśników. Cykliści ci dali powód do kilku fałszywych alarmów, gdyż brano ich za wracających z wyścigu zapaśników.

Na kilka minut przed godziną pół do 7 jeden z cyklistów torujących drogę, przyniósł wieść, iż już „jadą". Wszyscy zaciekawieni rzucili się ku gościńcowi. Z daleka widać było pędzący jak strzała bicykl i pochyloną nad nim postać w białej koszulce i niebieskiej czapce.

Wkrótce stalowy rumak przyleciał do mety, i zebrani zobaczyli, iż zwycięzcą jest p. Friedrich. Powitano go hucznymi oklaskami. Gdy stanął u mety, zegar wskazywał godzinę 6 minut 30. Pomimo jazdy, trwającej półtrzeciej godziny, zwycięzca wcale nie był zmęczony. Szybka jazda zarumieniła tylko mocno jego policzki, a pył grubą warstwą pokrył twarz i ubranie. W 6 minut później stanął u mety p. Turzański, trzecim o godzinie 6 m. 46 był p. Mikolasch. Przy 28 kilometrze, od którego punktu cykliści wracali do Lwowa, różnica w szybkości ścigających się była nieznaczna. Pan Friedrich przybył o godzinie 5 minut 7, p. Turzański o godzinie 5-tej m. 9, p. Mikolasch o godzinie 5 m. 12. W powrocie różnice te się zwiększyły.

Wynik wyścigów dowiódł, iż nasi cykliści trzymali się bardzo dobrze i zasłużyli zupełnie na miano dobrych cyklistów. Komitet sędziów przyznał im trzy nagrody, a mianowicie: złotą szpilkę z brylantami, rewolwer i portfel.

W Paryżu przed ławą sędziów przysięgłych toczy się rozprawa przeciw córce znanego wodza republikańskiej partyi Juliusza Favre, oskarżonej o rozmaite oszustwa. Pani ta należała do wielce rozgałęzionej bandy złoczyńców.

Samobójstwo. W Łańcucie zastrzelił się wystrzałem z rewolweru Jan Peszko, naczelnik tamecznej ochotniczej straży pożarnej.

Zmarli. Franciszek Kropaczek, emer. poborca podatkowy i emer. kasyer kasy oszczędności, umarł w Kołomyi w 73 roku życia. — Melania z Riegerów Seelingerowa, umarła w Izdebniku w 52 roku życia.—Ks. Felicyan Antoni Ziembowicz, rz.-kat. proboszcz i kanonik w Chocimierzu, umarł w 54 roku życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano +12° R. w poł. + 18 R. Bar. 768. Spada. Prześliczna pogoda.

Świetna spółka.

— Mam świetną myśl! Poszukuję spólnika z kilkoma guldenami.

— Kilka guldenów, to ja mam; jakaż to myśl?

— Chodźmy na śniadanie.

Z aforyzmów ekscentrycznych.

Wstydliwość — to bilet wizytowy niewinności.

Złe cygara zbyt prędko gasną, dobre wypalają się zbyt prędko.

Kto nie ma pieniędzy na piwo, temu łatwo zabronić wina.

Teatr. Dziś w poniedziałek nie ma przedstawienia. We wtorek „Szczęście małżeńskie", komedya w 3 aktach Albina Valabregue. W środę nie będzie przedstawienia. We czwartek „Roznosicielka chleba", sztuka w 5 aktach a 9 odsłonach X. de Montepina i J. Darnay.

Literatura i Sztuka.

* **P. Adam Didur**, basista, którego niezwykły głos kształcony dotychczas przez prof. Wysockiego, ogólnie podnoszono, wyjechał celem studjów na dłuższy pobyt do Medyolanu.

* **Koncert** p. Ireny Bohusówny, odbył się wczoraj i dozwolił spędzić słuchaczom przyjemnie wieczór. Głos śpiewaczki sympatyczny i, zwłaszcza w średnicy, bardzo piękny, podobał się w każdym z czteru punktów programu przez nią wykonanych. Wcale liczne grono słuchaczów przyjmowało młodą koncertantkę bardzo gorąco dając wyraz uznania dla jej talentu i pracy.

Bardzo udatnym był współudział panny Biernackiej, tudzież pp. Jeromina, Neuhausera, Sladka i Wolfsthala. *M. Sołtys.*

* **Piąte ćwiczenie popisowe** uczniów konserwatoryum przedstawiło nam w klasie śpiewu solowego pannę Kotłowską oraz pp. Weinredera (tenor) i Uricha (baryton); w klasach fortepianu panny: Baranowską, Lisowską, Marczakównę, Piekarską, Reimównę, Salikównę, Stupnicką, Syroczyńską, Tychowiczównę i pp. Merunowicza i Majewskiego; w klasie skrzypiec pp. Pulikowskiego, Polińskiego i Thuma; w klasie organów p. Jabłonowską; wreszcie p. Moszyńskiego z klasy gry wiolonczelowej. Największe zajęcie budził kwartet fortepianowy Es-dur Beethovena, wykonany przez uczniów szkoły ensemblowej, prowadzonej sumiennie, umiejętnie i z wielkiem zamiłowaniem przez prof. Sladka.

Głosy publiczności.

Odezwa. W samą Wielkanoc okropne trzęsienie ziemi nawiedziło naszą kwitnącą stolicę Lublanę i jej okolicę w szerokim promieniu.

Już pierwsze wstrząśnienie około północy było tak straszne, że wszystkie domy zachwiały się w swych posadach i kilkoro ludzi zginęło; — następne zaś wstrząśnienia, których było bez liku, dokonały dzieła zniszczenia.

Szkoda w budynkach rozsypujących się w gruzy, wynosi miliony, a rozmiarów grożącej nam klęski ekonomicznej, nawet w przybliżeniu ocenić nie można.

Tysiące ludzi nie mają dachu nad głową, obozują w namiotach i barakach, pomiędzy nimi ciężko chorzy i małe dziatki.

Ludność jest bezsilną w obec tej najstraszniejszej ze wszystkich potęg natury.

Przy pomocy Boga podźwignie się ona i odzyska siły, potrzeba jej wszakże obfitej pomocy bliźnich, ażeby mogła odbudować zniszczone kościoły i szkoły, — stworzyć sobie nowe domostwa i przez to zapewnić sobie warunki ekonomicznego odrodzenia.

Najmiłościwszy Cesarz jak zawsze tak i tym razem pierwszy pośpieszył z hojnym darem.

My zaś, — stojąc na chwiejącej się wciąż jeszcze ziemi — przejęci gorącem pragnieniem przyniesienia naszej nieszczęśliwej ludności pomocy i ratunku, — w tem ciężkim nieszczęściu odwołujemy się do szerokiego świata litości i miłości bliźniego i prosimy o pomoc.

Lublana, w kwietniu 1895.

Komitet ratunkowy.

Wiktor br. Hein, prezes. *Otton Detela*, marszałek krajowy Krainy. *Piotr Grasseli*, burmistrz Lublany).

(Datki należy przesyłać pod adresem: „Komitet ratunkowy dla Lublany i okolicy" w Lublanie, którego skarbnikiem jest dom bankowy L. C. Luckmann w Lublanie).

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 11 maja.

(Z). Ostatnie przesilenie wewnętrzne było może najwymowniejszem świadectwem, jak wielkie zaufanie międzynarodowy kapitał żywi do naszej monarchii. Oto w chwili, gdy groziła państwu potrójna kryzis, bo i w Przedlitawii i na Węgrzech i w ministeryum spraw zagranicznych, kurs wspólnej renty obniżył się zaledwie o pięć centów, a kurs złotych rent nawet z miejsca się nie ruszył, ostateczny zaś rezultat tego burzliwego tygodnia jest na całej linii dodatni. Pewne zaniepokojenie na targu walorów spekulacyjnych wywołała dziś wiadomość, że minister finansów w komisyi budżetowej zapowiedział podwyższenie podatku giełdowego, to też bankowe papiery były dziś na drugim planie.

Znaczna haussa rozwinęła się natomiast w walorach górniczych i fabryk żelaza z powodu, że rząd austryacki zamierza poczynić obstalunki lokomotyw i wagonów za 10 milionów, a także niemieckie zakłady spodziewają się olbrzymich zamówień rządu chińskiego. Rokowania o wielką pożyczkę chińską rozpocząć się mają już tymi dniami, banki francuskie czynią już takie przygotowania, jak gdyby sfinansowanie pożyczki odbyć się miało już tymi dniami.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 399·—, węgierskie 459·25, Anglobanki 171·—, Uniony 330·50, Bankvereiny 165·—, Länderbanki 280·50, Ludwiki 222·—, Czerniowieckie 328·—, Elbethale 293·25, Renta papierowa 101·45, srebrna 101·40, austryacka złota 123·85, 4% austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 122·90, 4% węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·73—, 20-frankówka 9·68½, marki 11·93, ruble 1·31¼.

Wiedeń 11 maja. Spirytus 15·80—15·90.

Ostatnie wiadomości.

W sobotę parlament niemiecki odrzucił odrazu cały projekt przeciw wywrotowi. Nadzwyczajne wzburzenie, które panowało między deputowanymi, przyczyniło się do tak szybkiego zakończenia sprawy. A owo wzburzenie wywołała piątkowa mowa ministra spraw wewnętrznych von Köllera, o której wspominamy w Przeglądzie politycznym. Otrzymaliśmy w tej chwili dosłowny tekst jego przemówienia. Otóż odpowiadając deputowanemu Lenzmanowi, rzekł on: „Czy zasady, któremi kieruje się rząd, wy uznajecie, to jest związkowemu rządowi w całości i w szczegółach dość obojętne. Rząd potrzebuje was tylko na to, abyście przyjmowali ustawy, które wam przedstawia i dawali pieniądze. Czy zaś rząd chce jakichś reform i ustaw, czy ich nie chce, to już nie wasza rzecz."

W Berlinie rozeszła się pogłoska, że z powodu tej prowokacyi posprzeczali się ostro von Köller z podsekretarzem dla spraw zagranicznych Bötticherem, a potem zaczęto mówić, że Bötticher niebawem ustąpi i zajmie posterunek nadprezydenta prowincyi w Kasselu, a Köller obejmie jego urząd. Gdyby się to sprawdziło, byłoby wskazówką prądów, panujących w najwyższych sferach niemieckich. Jednak jakiekolwiek są te prądy, w każdym razie niepodobna przypuszczać, aby v. Köller mógł być nagrodzony za grubiaństwo. Uważamy tedy ową pogłoskę za zręczny manewr liberałów, bo zapewne i ona przyczyniła się do bezwzględności, z jaką parlament obszedł się z projektem przeciw wywrotowi.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 13 maja. Tutejsze i peszteńskie dzienniki urzędowe ogłaszają odręczne pismo cesarskie, zwołujące delegacye wspólne na 6go czerwca do Wiednia.

Cesarz powrócił wczoraj rano z Poli, a o 1ej w południe przyjmował na zamku w Lainz hr. Kalnoky'ego na długiej audyencyi, o 5ej po południu zaś przybył do Burgu i przyjmował Banffy'ego i br. Josikę.

Budapester Correspondenz donosi, że na tej audyencyi przedłożył Banffy Cesarzowi wyczerpujące sprawozdanie o sytuacyi politycznej, a Cesarz zastrzegł sobie decyzyę na później. Z tego powodu prezes gabinetu węgierskiego nie odpowie jeszcze zaraz na interpelacyę Helfy'ego, żądającą wyjaśnienia, jakie stanowisko zajmie rząd węgierski wobec sytuacyi stworzonej tym faktem, że hr. Kalnoky otrzymał nader pochlebne pismo odręczne Cesarza.

Porządek dzienny jutrzejszego posiedzenia Izby posłów i Izby magnatów nie dozna jednak żadnej zmiany.

W Izbie magnatów stoi na jutrzejszym porządku dziennym debata nad przedłożeniami kościelno-politycznemi.

Wiedeń 13 maja. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zawiadomił prezes, że wpłynęła petycya gminy Lwowa o wyjednanie ulg podatkowych i należytościowych dla 10 milionowej pożyczki. Koło uprosiło ministra Jaworskiego, aby się zajął tą sprawą, poczem kontynuowało obrady nad podatkiem osobisto-dochodowym.

Paryż 13 maja. Wczoraj z powodu imienin księcia Orleańskiego odbył się w hotelu „Continental" bankiet, w którym wzięło udział około 500 osób, w tej liczbie wszystkie wybitne osoby ze stronnictwa monarchicznego. Uchwalono wystosować do księcia adres z zapewnieniem niewzruszonego obstawania przy narodowej monarchii, uległości i wierności dla księcia.

Peszt 13 maja. Wbrew rozmaitym pogłoskom zapewnia *Budapester Correspondenz*, że na wczorajszej audyencyi Banffy wcale nawet nie znalazł się w tej sytuacyi, ażeby potrzebował przedkładać Cesarzowi prośbę o dymisyę.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 12 maja. W. hr. Baworowski z Ostrowa. H. hr. Heyman z Berlina. H baron Cohn z Berlina. O. br. Thurner z Złoczowa. K. br. Neuburger z Wiednia. A. br. Pociejko z Rosyi. S. Wybranowska z Kimirza, W. prof. Szajnocha z Krakowa. M. Kaliwoda z Pragi. Dr. Seinfeld z Kołomyi. W. Wielkopolski z Bukowiny. T. Wroński z Królestwa Polskiego. J. Denkner z Nowosielicy. K. Linkesch z Berna. W. Polański z Dublan. M. Leśniewicz z Podola rosyjskiego.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

† Za duszę śp. **Andrzeja Kochanowskiego** odbędzie się **Nabożeństwo żałobne** w kościele OO. Bernardynów we środę 15 maja br. o godz. 9 rano, na które rodzina zaprasza krewnych, przyjaciół i znajomych.

Lwów dnia 13 maja (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 331.— do 335·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 440.— do 450.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. łos. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 100·80 101·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. łos. w 51 lat. 101·20 do 101.90, Banku kraj. 4 proc. łos. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. łos. w 56 lat. 98·— do 98·70.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·40 do 99·10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do 102.70 Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —·—, 4 pół proc. 100.70 do 101.40, 4 proc. z r. 1891 98.30 do 99·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·50 do 99·20.

Monety. Dukat cesarski 5·70 do 5.80, Napoleondor 9.65 do 9.75, Półimperyał 10.— do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.30, 100 marek niemieckich 59.50 do 60·—.

Wiedeń 13 maja (godz. 11 w południe) Kredyty 400.35, kred. węg. —.—, Anglobanki 172.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 281.10, Akcye tytoń. 238.—, Staatsbahny 427.50, Lomb. (z kup.) 104.—, Elbethala —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59·67, Losy tureckie —.—.

1)

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zagadka.

I.

Byłem od roku wspólnikiem kancelaryi adwokackiej pp. Veeley i Carr, gdy pewnego poranku, podczas ich nieobecności, do biura mego gabinetu wszedł młodzieniec zmięszany widocznie i tak wzburzony, że mimowoli powstałem i zbliżyłem się ku niemu, z zapytaniem:

— Co się panu stało?

— Przychodzę się rozmówić z p. Veeley. Czy jest w swoim gabinecie?

— Nie — odparłem. — Dziś rano musiał wyjechać do Waszyngtonu i wróci dopiero jutro. Ale jeżeli pan raczy wyłuszczyć mi swój interes...

— Panu? — przerwał i spojrzał na mnie badawczo.

Rezultat obserwacyi był widocznie pochlebnym dla mnie. Młodzieniec bowiem odezwał się po chwili w te słowa:

— Nie widzę powodu, dla czego nie miałbym panu wyjawić, co mnie tu sprowadza. Nie jest to zresztą żadna tajemnica. Przyszedłem oznajmić panu Veeley o śmierci p. Leavenworth.

— P. Leavenworth! zawołałem, odskakując w tył z przerażenia.

P. Leavenworth był dawnym klientem naszego domu, a przytem serdecznym przyjacielem p. Veeley.

— Tak, został zamordowany, kula roztrzaskała mu czaszkę w chwili, gdy siedział przy biurku, w swej bibliotece.

— Zabity! Zamordowany!

Nie wierzyłem własnym uszom.

Jakto! ten zacny staruszek, który niedalej jak przed tygodniem czynił mi wymówki, że się nie żenię i zapraszał, abym odwiedził jego i jego synowice!...

Spojrzałem ze zdumieniem, z niedowierzaniem niemal na stojącego przedemną mężczyznę.

— Jakto? — bełkotałem — kiedy?

— Tej nocy... tak przynajmniej sądzimy. Dopiero dziś rano znaleźliśmy go nieżywym. Jestem sekretarzem p. Leavenworth, mieszkam w jego domu... Straszny to był cios... zwłaszcza dla panien.

— To okropne! — powtarzałem — p. Veeley będzie przejęty do żywego.

— Pozostały same — ciągnął dalej głosem przyciszonym, miarowym, który, jak to zauważyłem następnie, był mu właściwym — mówię o pannach Leavenworth, synowicach zmarłego — dodał. — Ponieważ śledztwo ma być przeprowadzone dzisiaj, chciałem więc, aby miały przy sobie doświadczonego doradcę. P. Veeley był najserdeczniejszym przyjacielem ich stryja, prosiły mnie zatem, abym się zwrócił do niego. Skoro nie zastaję p. Veeley, sam nie wiem, doprawdy, co teraz począć?

— Ha! te panie nie znają mnie wprawdzie — odparłem — lecz jeśli mogę zdać im się na co, jestem na usługi. Miałem tyle szacunku dla ich stryja...

Wyraz oczu sekretarza był tak dziwnym, że urwałem w pół zdania.

Źrenice jego powiększyły się nagle, chciał jakby pochłonąć mnie oczami.

— Nie wiem doprawdy — mówił, a lekkie zmarszczenie jego brwi świadczyło, iż nie jest zadowolniony z obrotu, jaki przyjmuje sprawa.

— Ale może istotnie byłoby lepiej — dodał po namyśle — niepodobna pozostawić tych pań samemi.

— Dobrze — przerwałem mu — pójdę.

Napisałem kilka słów do p. Veeley i uporządkowawszy papiery, wyszedłem ze sekretarzem.

— A teraz opowiedz mi pan wszystko, co wiesz o tej strasznej sprawie.

— Wszystko co wiem? — powtórzył. — Kilka słów wystarczy. Pozostawiłem go wczoraj wieczorem, jak zwykle, przy stole w bibliotece. Dziś rano znaleźliśmy go na tem samem miejscu, w tej samej postawie, lecz z raną od kuli w głowie, nie wiele większą od końca mojego piątego palca.

— Nie żył już?

— Zastygł nawet.

— Ach! to okropne! Może to samobójstwo? dodałem po chwili.

— Nie. Nie znaleziono dotychczas pistoletu.

— Jeśli to istotnie morderstwo, musi być jakaś pobudka. P. Leavenworth był człowiekiem zanadto dobrym i uczynnym, aby mógł mieć nieprzyjaciół, a jeżeli go chciano okraść...

— Nie dokonano kradzieży; nic nie zginęło — przerwał mi sekretarz — cała ta sprawa jest jakąś niezbadaną tajemnicą?

— Tajemnicą?

— Tak.

Spojrzałem ciekawie na młodzieńca. Twarz jego lubo przystojna, była banalna i nie mogła ciekawości mojej zaspokoić.

— Czy te panie są bardzo przygnębione? — spytałem.

Zanim mi dał odpowiedź, namyślił się chwilę.

— Naturalnie, że są przygnębione, jakżeby mogło być inaczej? — rzekł wreszcie.

Wyraz jego twarzy i odpowiedź, jaką mi dał, wskazały mi, że mówiąc o tych paniach z owym chłodnym i banalnym sekretarzem p. Leavenworth, popełniłem niewłaściwość.

— Powrócimy jeszcze do tej rozmowy — rzekłem — tymczasem wsiądźmy do dorożki.

Po drodze przypominałem sobie wszystko, com kiedykolwiek słyszał o p. Leavenworth. Ograniczało się to do szczupłej wiązanki informacyj.

Wiedziałem, że p. Leavenworth był kiedyś kupcem, że zebrał znaczny majątek, wycofał się z interesów, a nie mając sam dzieci, przygarnął dwie synowice, z których jedna miała zostać jego spadkobierczynią.

Słyszałem nieraz od p. Veeley o jego ekscentrycznych wybrykach, o tem naprzykład, że zrobił testament na korzyść jednej z siostrzenic, z zupełnem pominięciem drugiej; lecz o życiu prywatnem p. Leavenworth, o jego przyzwyczajeniach, stosunkach towarzyskich, nie wiedziałem nic zgoła.

Zajechawszy przed dom, ujrzeliśmy wielki tłum ludzi, tak że z trudem trzeba było torować sobie drogę. W chwili gdy podjeżdżaliśmy, ujrzałem wychodzącego na ganek jednego z najzręczniejszych agentów policyjnych, wysyłanych zazwyczaj do tropienia przestępców.

— Pan Gryce! — zawołałem.

— Tak, ja we własnej osobie. Zechciej wejść, panie Raymond. — Zobaczyłem pana przez okno i wybiegłem na pańskie spotkanie.

Idąc przodem, wprowadził nas do domu, poczem zamknął na klucz drzwi wchodowe, ku wielkiemu niezadowolnieniu gapiów.

— Dziwisz się pan zapewne, że mnie spotykasz tutaj — rzekł, podając mi rękę i spoglądając ukradkiem na mojego towarzysza.

— Nie — odparłem, a sądząc, że wypada przedstawić mu jego, rzekłem:

— Pan.. pan... przepraszam, lecz nazwisko pańskie jest mi nieznane... sekretarz p. Leavenworth — dodałem pośpiesznie.

— Oh! — odparł p. Gryce — sekretarz... to pan jesteś sekretarzem? Sędzia śledczy życzy się z panem widzieć, panie...

— Więc i sędzia śledczy jest tutaj! — zawołałem.

— Tak, tak, eksperci weszli przed chwilą na pierwsze piętro dla obejrzenia zwłok. Czy chcesz pan pójść do nich!

— To zbyteczne. Przybyłem jedynie w nadziei, że mogę się zdać na co pannom Leavenworth podczas nieobecności p. Veeley.

— Sądziłem, że znalazłszy się już tutaj, zechcesz pan, jako prawnik, śledzić cały przebieg tej ciekawej sprawy, lecz skoro pana to nie obchodzi...

Przemogłem mój wstręt.

— Pójdę — rzekłem z nagłą decyzyą.

— Dobrze, a więc idź pan za mną.

W chwili gdym wstępował na pierwszy stopień, usłyszałem, że schodzą eksperci: ocknąłem się z p. Gryce do małego pokoiku, oddzielającego sień od salonu i szepnąłem sąsiadowi na ucho:

— Młodzieniec ów mówił mi, że to nie jest złodziejska sprawa.

— Istotnie — odparł p. Gryce, z oczyma utkwionemi w klamkę drzwi przeciwległych.

— I że podobno nic nie zginęło.

— I że okiennice były zamknięte z wewnątrz a znaleźliśmy je dziś rano nietknięte.

P. Gryce uśmiechnął się smutno do klamki.

— Wszystko to wydaje mi się zagadkowe — rzekł.

Zmarszczył brwi.

Pozwalam sobie nadmienić tutaj, iż p. Gryce nie należał do rzędu detektywów o tem badawczem, niemiłem spojrzeniu, które zdaje się zanurzać do głębi duszy, aby z niej wydrzeć tajemnicę. Przeciwnie, był to człowiek dobroduszny, nieco nawet otyły, z biegającemi oczyma, które nie patrzyły nigdy prosto na interlokutora...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W Hodak.